

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie Rb. 2. Półrocznie Rb. 4. Rocznie Rb. 8. W Królestwie i Cesarstwie: Kwartalnie Rb. 2.25 Półrocznie Rb. 4.50 Rocznie Rb. 9. Zagranicą: Kwartalnie Rb. 3. Półrocznie Rb. 6. Rocznie Rb. 12. Miesięcznie: w Warszawie, Królestwie i Cesarstwie kop. 75, w Austrii: Kwartalnie 6 Kor. Półrocznie 12 Kor. Rocznie 24 Kor. Na przesyłkę „Alb. Szt.” dołącza się 50 hal. Numer 50 hal. Adres: „ŚWIAT” Kraków, ulica Bonerowska № 12. CENA OGŁOSZEN: Wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście Rb. 1. na 1-ej stronie okładki kop. 60. Na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem kop. 30. 3-cia strona okładki i stronie poza okładką kop. 25. Za tekstem na białej stronie kop. 30. Zaślubiny i zaręczyny, Nekrologi, Nadeślane kop. 75. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rb., przy nadeślanych 8 rb., na ostatniej 7 rb., wewnątrz 6 rb. Załączniki po 10 rb. od tysiąca.

Adres Redakcji i Administracji: WARSZAWA, Zgoda № 1. Telefony: Redakcji 80-76, redaktora 68-75, Administracji 73-22. FILIE ADMINISTRACYI: Sienna № 2 tel. 114-30. ŁÓDŹ, ulica Piotrkowska № 81.

Za odnośnienie do domu doptaca się 10 kop. kwart.

ŚWIAT

Rok VIII. № 7 z dnia 15 Lutego 1913 r.

PENSYONAT WYTWORNY
D-rowej Z. Woyciechowskiej
Nowogrodzka № 40. Tel. 186-58.

Biuro Komisowe 1^{go} rzędu,

zatwierdzone przez Ministerium, kaucyonowane, Waleryana Śniechórskiego, Warszawa, Królewska № 29, przeprowadza: kupno-sprzedaż majątków ziemskich, domów, willi, placów. Lokate kapitałów na hipoteki. Dzierżawy majątków. Wogóle najszersze pośrednictwo. Majątki ziemskie, domy, wille, place, są zawsze do sprzedania i sumy do ulokowania na hipoteki.

BIURO KOMISOWE **Waleryan Śniechórski,**
Królewska № 29.

TROCADERO

Bar-Restauracja

Nowy-Świat № 23. — Telefon 267-61.
Wydaje obiady z 5-ciu dań po 50 kop.
od godziny 1 do 5-ej po poł. Gabinety.

Włodzimierz Perzyński

ŁUT SZCZĘŚCIA

POWIEŚĆ

Cena rb. 1.20.

Zadać we wszystkich księgarniach.

Hotel ROYAL w WARSZAWIE.
Telefon: 5-09, 8-29.
Winda. Elektryczność. Kąpiele.

Nakładem Akc. Tow. S. Orgelbranda Synów w Warszawie wyszła i jest do nabycia we wszystkich księgarniach najnowsza komedia w 3-ach aktach *Stefana Krzywoszewskiego*

Dyabeł i karczmarka.

HOTEL EUROPEJSKI
W WARSZAWIE.

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Redaktor: Stefan Krzywoszewski.
Warszawa, ulica Zgoda № 1, róg Chmielnej.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, Bonerowska № 12.

Unarodowienie miast polskich.

Pod koniec roku Pańskiego 1912, gdy Warszawa ze zdziwieniem ujrzała swój mandat poselski w portfelu litwaków i gdy uczyniła smętne doświadczenie, że jej rodzime siły są zbyt wątłe, aby go stamtąd wydobyć, zdołaliśmy przy sposobności zauważyć, że Polska nie ma miast własnych. Wszystko inne dochodziło łatwiej do naszej świadomości, niż ten właśnie fakt, zdawałoby się, najnamacalniejszy z namacalnych.

Nie wątpili dziadowie nasi, że szanujący się naród powinien raczej zaryzykować w nierównej walce cały byt polityczny kraju, niż dłużej znosić kaprysy wielkiego księcia i przypatrywać się intrygom Nowosilcowa. Z nadzwyczajną przenikliwością spostrzegł niegdyś Mierosławski, że pomyślność kraju wymaga, aby czemprędzej ostatni szlachcic polski zawisnął na suchej gałęzi. Rozumiał wybornie hr. Andrzej Zamojski, a wraz z nim najświetlejsze żywiły w narodzie, że należy poświęcić raczej wszystkie zdobycze, jakie przyniósł nam rok 1862, niż żeby pozostał wobec potomnych cień pozoru, iż Korona, zyskawszy swobodny oddech po długoletnim ucisku, mogła nie zgłosić natychmiast swych praw do władzy za Niemnem. Wie dziś galicyjski rozum stanu, że dniem klęski narodowej jest dzień, w którym rusin zasiadł na wybitnym stanowisku w zarządzie oświaty publicznej we Lwowie. Wiedzieliśmy, że niepodobna żyć bez Litwy i że niepodobna żyć, dopóki oblicze ziemi polskiej znosi ludzi, dziedzicznie obciążonych znakami herbowemi. Wszystko to z niesłychaną bystro-

ścią pojmwaliśmy. Tylko ten jeden drobiazg uchodził stale naszej uwagi: że naród nasz jest bezprzykładnym w rodzinie ludów nowoczesnych kaleką, pozbawionym niezbędnego organu życia. Że nie ma miast.

Zdarzali się wprawdzie ludzie, których ta ułomność szczególnie niepokoiła. Widział ich schyłek niezależnej Rzeczypospolitej, jak nieśmiało radzili nad tą ułomnością na Sejmie czteroletnim. Dośledzilibyśmy się ich także później. Ale ogół polski zżył się z błogiem mniemaniem, że Polska—to wieś, i ani myślał dać się wytrącić z toru uświęconych pojęć. Gdy miecz powstańczy wypadał mu z ręki, koronował fikcyjnych królów na emigracyi, lub ściagał chimery przewrotów społecznych, mających dokonać się w ciągu jednej doby i zbawić naród. To były kwestye życia. Natomiast ogół ten nie uczuwał żadnych wyrzutów sumienia, gdy w całej Europie miasta stawały się potężną dźwignią nowoczesnego rozwoju i głównym zbiornikiem siły narodowej, a w Polsce trawa zarastała drogę do odwiecznego ratusza — ani nie drgnęło to sumienie wtedy, gdy w senne nasze ulice wtargnęła, stłoczona dotychczas w zaułkach ghett, fala obca, zdobywczoz rozpływając się w coraz szersze i szersze kręgi.

Wśród złudzeń, że ta fala spłynie we wspólne łożysko naszego życia narodowego, wśród lenistwa, które nie pozwalało nam zakładać własnych warsztatów pracy, dożyliśmy stanu rzeczy monstrualnego. Wyłączywszy rozkładający się Wschód, żaden na-

ród cywilizowany w Europie nie zna rozdziału plemiennego między skupieniami miejskimi, a resztą kraju. Tylko u nas są to dwa różne światy. Mieszkańcami miast we Francji są francuzi, w Niemczech Niemcy, w Danii duńczycy, w Norwegii Norwegowie. To wszędzie rozumie się samo przez się, i ramy tej naturalnej reguły obejmują nawet drobne i ubogie ludy bałkańskie, na których bohater-skie parweniuszostwo tak radzi patrzemy z góry. Polska jedna stanowi osobliwy wyjątek. Miasto, położone na naszej ziemi, nie jest polskiem. Miasto w Polsce jest to curiosum. Jego ludność tworzy różnojęzyczna i różnonarodowa mieszanina, i nie najgorszy to jeszcze stan rzeczy, gdy w mieszaninie tej pozostało tubylcom tyle miejsca, że nie zepchnięto ich do rzędu zupełnie znikomej mniejszości.

Z politycznego nałogu nazywamy nasze miasta „polskimi“, a ich zabarwienie kulturalne podsyca złudę, jakiej ulegamy. Gdy statystyka językowa przychodzi do głosu ze swą nieubłaganą rzeczywistością — okazują się rzeczy przerażające: w Warszawie stanowią polacy w ogólnym zaludnieniu 67%, w Krakowie, ale „powiększonym“, 78%, w Poznaniu 59%, w Łodzi 52%, we Lwowie 51%, w Wilnie 45%. Są to najliczniejsze nasze skupienia i pozycja nasza w nich jest względnie pomyślna. W całym szeregu innych jest znacznie gorzej. Są takie, na których pozostała już tylko polska etykieta: nazwa.

Życie straciło tu już swą bezpośrednią wymowę, oswajając nas z tem, z czem naród przytomny i niezrezygnowany nie powinien się być nigdy oswoić. Trzeba zejść dopiero w gęstwinę cyfr, aby zrozumieć w całej pełni naszą niewysłowną nędzę.

Największy nasz obszar narodowy, Królestwo, przedstawia się w barwach niesłychanie ponurych. Mieszanina polsko-żydowsko-niemiecka — to są nasze miasta w okręgach przemysłowych, mieszanina polsko-żydowska — to miasta w okręgach rolniczych. Statystyka, na której musimy się oprzeć, odróżnia, niestety, tylko Rosjan, Żydów i „pozostałych“, zbijając w czambuł Polaków i Niemców, co nie pozwala nam uwydatnić dokładnie, jak mały odsetek przypada na ludność naszą w znaczniejszych miastach przemysłowych.

Ale nawet te niedostatecznie różniczkowane cyfry muszą w najbardziej niepokojący sposób uwięzić naszą uwagę, gdy wskazują, że n. p. w Częstochowie na 73.000 ludności przypada na o-wych „pozostałych“, więc Polaków i Niemców, razem wziętych, 48.000, lub gdy w Będzinie na 50.000 każą nam Polaków doszukiwać się wśród „pozostałych“ 24.000. Wiemy natomiast dobrze, czym jest Łódź, to nasze smutne „drugie miasto“, ta polska wieża Babel, w której nasz język z pewnością nie najgłośniej się rozlega.

Dokładniej zarysuje się rzecz w statystyce tych okolic kraju, w których Niemcy co najwyżej minimalnie w grę wchodzi. Mamy tu do czynienia ze stosunkiem trzech tylko żywiołów: rosyjskiego, żydowskiego i polskiego, głównie jednak tych dwóch ostatnich. Tu, wśród miast znaczniejszych, błyszczy Włocławek, który może się pochłubić, że ma 66% ludności polskiej, ale obok tego fenomenu widzimy szereg miast, w których Polacy mieszkańcy tworzą połowę zaludnienia, jak w Piotrkowie, Radomiu, Płocku, Łomży i innych, widzimy Kalisz, gdzie ludność polska spada poniżej połowy, widzimy oplakane „polskie miasto“ Lublin, gdzie na 66.000 ludności przypada Polaków — 25.000. Pójdźmy pomiędzy małe miasteczka. Zobaczymy tam takie potworności, jak Działoszyn, Międzyrzec, Włodawę, Chmielnik i całą litanię innych, gdzie się już właściwie przestaje być w Polsce, gdzie ludność polska schodzi do rzędu kolonii, topniejącej do 20, 18 i 15%.

Mówiliśmy o ludności. O ileż smutniej wygląda nasze miasto! Jest dobrze jeszcze, gdy, jak w Płocku, własność nieruchoma należy w połowie do Polaków i Żydów, nie jest jeszcze najgorzej, gdy Żydzi posiadają jej 60%, jak w Piotrkowie — trzeba całą jaskrawość oświetlenia naszej nędzy zarezerwować na Lublin, gdzie własność żydowska osiągnęła niemal 70%, gdzie na 1190 nieruchomości miejskich, w ręku Polaków znajduje się zaledwie jeszcze 374!

Tak wyglądają dziesiątki miast Królestwa.

Warszawa odpowiada również temu typowi. Wiemy, iż w stolicy Polski tworzymy upokarzająco niski odsetek, 67%, że na 822.000 jej ludności przypada, obok kolonii Niemców i Rosjan, 300.000 Żydów — i około 480.000

Polaków. W Warszawie „wielkiej“, która wraz z gminami podmiejskimi liczyłaby mieszkańców 1.050.000, stan rzeczy poprawi się dla nas — na papierze. Lecz jeszcze wtedy Żydzi stanowić będą część trzecią w tej dzikiej symbiozie dwóch stolic, w tej kombinacji największego miasta polskiego z „największym żydowskim“. A dla pełności obrazu dorzucmy cyfry, które powiedzą nam, jak daleko postąpił ubytek naszej własności w centrum Polski. Wskazują nam one, że na 4542 właścicieli nieruchomości, którzy mają, czy mieli, otrzymać prawo wyborcze w samorządzie, doliczono się Polaków — 2453! To cyfra z r. 1910. Zmieniła się ona do dziś niewątpliwie na naszą niekorzyść, gdyż ruble litwackie nie próżnowały przez dwa lata. Wynik zaiste straszny: Połowa Warszawy już wyszła z rąk polskich!...

Idźmy na południe.

I Galicya jest nieodrodną częścią Polski. I tu nasze miasta tworzą pstrą mozaikę żywiołów różnonarodowych, a Żydzi czują się w nich właściwymi panami, jeżeli nie liczbą, to siłą materialną. Porównawcze kolumny cyfr nie mają tu już, wprawdzie, tej bezwzględnie ponurej wymowy, co w Królestwie, procent ludności żydowskiej w miastach i miasteczkach galicyjskich zwolna nawet zmniejsza się, ludność nasza rośnie. W Galicyi zachodniej, rdzennie polskiej, zestawienie za ostatnich lat 30 niesie dobrą nowinę, że siła rozwojowa naszego żywiołu miejskiego stale się podnosi. W mieście wschodnio-galicyjskiem, które jest mieszaniną polsko-rosko-żydowską, z kulturalnym polskiem zabarwieniem, czynimy także postępy, z wyjątkiem właśnie najbardziej polskiego Lwowa, w którym przewaga nasza liczebna zmniejsza się.

Na podstawie dat z ubiegłego 30-lecia, daje się odtworzyć proces następujący: Stosunki ludnościowe w całej Galicyi najkorzystniej układają się dla nas. Rozwój liczebny, zarówno naszej ludności, jak ruskiej, odbywa się kosztem Żydów, którzy nie zdołali utrzymać naturalnego przyrostu, co wskazuje na dość silną ich emigrację. Usamodzielniający się nasz organizm narodowy zaczyna wypierać zwolna obcy element.

To wszystko prawda.

Niemniej, gdyby nie mozolna praca statystyki, moglibyśmy tych zmian prawie nie zauważyć w życiu. Postępy nasze są kro-

plą w morzu: nie my jesteśmy właściwymi posiadaczami miast w Galicyi, lecz żydzi, ze swym ledwie nadszarpniętym monopolem handlowym, ze swą potęgą pieniędzy, z rosnącą liczbą i wpływem swych warstw inteligentnych. Ustępując nieznacznie z łamów statystyki, żydzi dochodzą natomiast szybko do coraz większej siły, jako czynnik życia publicznego, i w niektórych jego dziedzinach mają głos rozstrzygający. Potężne kliki żydowskie, w ostatnich czasach zadające sobie coraz mniej trudu udawania polskości, rządzą dziesiątkami miast w Galicyi, rządzą nieoficyalnie obu stolicami kraju: Lwowem i Krakowem. Nieruchoma własność, skupowana przez żydów systematycznie i planowo, a topniejąca wprost w naszym ręku, stwarza coraz rozleglejszą podstawę dla ich wpływu. Tę siłę, która miastom naszym daje obce piętno, sami żywimy i hodujemy. Poczucie wielkich szkód narodowych, jakie stąd płyną, usypia polityka kół rządzących, których rozum stanu zaczyna się i kończy na mandacie, uzyskanym żydowskimi głosami, i które najżywniejszą treść polską sprzedają za tandetny pozór naszej supremacji.

Nie mamy polskich miast ani w Królestwie, ani w Galicyi. Nie mamy ich także w smutnej ziemi, poddanej rządowi pruskiemu. Tu zastajemy stosunki zgoła odmienne, niż w poprzednich dwóch dzielnicach, i także wewnątrz bardzo niejednolite. Spotykamy się tu z grabieżą, dokonywaną przez inny żywioł obcy: niemiecki.

Stosownie do rozmieszczenia geograficznego, żywioł ten, w niektórych okolicach od wieków wkorzeniony, bądź przygniata zupełnie polszczyznę, bądź zrównywa się z nią, bądź jej ustępuje. Nie można prawie mówić o Prusiech Królewskich i Książęcych. Miasta znaczniejsze są zniemczone, tylko w małych miasteczkach tuli się nieśmiało trochę polskiego ubóstwa. Niemczyzna jest tu wszędzie stara i wszędzie zwycięska. Dopiero w ostatnich czasach przestała iść naprzód i, jeżeli wolno użyć tego, może za silnego, wyrażenia, daje się zauważyć proces nieznacznego polszczenia się miast zachodnio-pruskich, a w każdym razie, przybytek na naszą korzyść. Niebardziej różowy, acz odmienny stan rzeczy, spotykamy na Śląsku opolskim. Tu miasta również oddawna były wynaradawiane, jednakże powierzchowniej, niż na północy. Największe tutejsze

skupienia miejskie i przemysłowo-miejskie: Opole, Bytom, Gliwice, Królewska Huta, posiadają znaczny, nieraz do połowy dochodzący, odsetek polskiej ludności, przykrytej jednak grubą warstwą niemczyzny.

Nigdzie nie jesteśmy sami, wszędzie ta nieodstępna kłątwa współżycia z kimś drugim. Podziela ten los i Wielkopolska, najodporniejsza z ziem pruskiego zaboru, która, jedyna na całym obszarze naszej ojczyzny, toczy o posiadanie swoich miast walkę istotną, walkę, której wyniki, jak dotąd, nie są dla nas niekorzystne. Urzędowa statystyka z ciężkim przymusem i zapewne z nienajwiększą skrupulatnością wykrztusza cyfry stałego wzrostu Polaków w miastach. Poznań, który ma Polaków 95.000, Niemców i Żydów 60.000, to jedno z najbardziej polskich miast, jeśli zważy się, że w tej drugiej kategorii mieści się armia pruskich urzędników, forsonnie i sztucznie tu gromadzonych i mechanicznie tylko z miastem związanych. Jedynie więc w tej kresowej dzielnicy możemy na nasz rachunek wpisać wolne, z trudem zdobywane, lecz dostrzegalne postępy. Jest to jednak także tylko odwrotna strona ujemnego stanu rzeczy, są to także tylko wyłomy, czynione w czyjś obcem współpanowaniu na gruncie miast naszych... Żydy, czy Niemcy, zjawiają się przy nas natychmiast, skoro tylko skierujemy kroki w stronę polskiego ratusza, i będą tam radzić z nami — albo bez nas.

Curiosum polskie jest do oglądania wszędzie, gdziekolwiek mowa polska się rozlega.

Nie mamy miast i musimy je stworzyć. Jest to najdonioślejsza, najbardziej żywotna ze spraw, jakie na wokandzie polskiego życia zastaje pokolenie współczesne. Jest to sprawa uleczenia narodowego kalectwa. Sprawa ocalenia jednolitego charakteru naszego kraju. Sprawa — na dalszą metę — życia lub śmierci Polski, jako zwartej, narodowej całości.

Oświeciliły jej znaczenie w jaskrawy sposób doświadczenia nasze ostatnich lat. Hasło „kraju polsko-żydowskiego“ brzmi ostrzegawczo nad naszymi uszami. Rzuciła je litwacka prowokacja, ale coraz pełniejszą pierś przywtórowują mu miliony Żydów, od wieków u nas zamieszkałych, miliony, które i bez litwackiego suflera, prędzej lub później, rozej-

rzawszy się dokoła siebie, byłyby same spostrzegły, że tworzą siłę, mogącą nie przystosowywać się, lecz dyktować. W r. 1911 czytaliśmy w pismach zagranicznych oświadczenie Żydów polskich z Królestwa: „Oszustwem jest twierdzić, że istnieje jakaś Polska z jednolitym narodem: to kraj polsko-żydowski i takim musi na zawsze pozostać“. Wódz nacjonalizmu żydowskiego, Stanisław Mendelson, wzywa nas w biały dzień do prowadzenia w Polsce polityki nie polskiej, lecz „krajowej“, polityki kraju o mieszanej ludności.

Ten srom i ta groza, których generacja nasza dożyła, mają swe źródło w fakcie, iż oddaliśmy nasze miasta w obce władanie. Właśnie miasta dały Żydom potęgę, która upoiła ich aż do sięgnięcia po włodarstwo ziemią naszą. Właśnie tu wyhodowaliśmy sobie naszym krótkowidztwem i naszą dziwną skłonnością do złudzeń dzisiejszego pretendenta do współwładzy. Stwarza to miarę do oceny, jak decydujące znaczenie ma dla nas sprawa przejęcia ognisk życia miejskiego z powrotem na naszą własność.

Rzadko dotąd stawaliśmy wobec problemu równie zasadniczego. Na przełomie w. XVI i XVII stało przed nami dziejowe pytanie: Czy zdołamy przez wytworzenie nowoczesnych form życia publicznego utrzymać się, jako państwo? Zadania tego nie potrafiliśmy rozwiązać, i spowodowało to w najdalszej konsekwencji naszą ruinę. Upadając politycznie, nie przestaliśmy jednak tworzyć narodu — terytoryalnego. Zabrakło państwa, został kraj polski. Istnienie tego kraju było wśród najgorszych dopustów losu źródłem naszej wiary w przyszłość, podstawą nadziei lepszego jutra. Chwila obecna przynosi nam straszliwe ostrzeżenie, że możliwy jest dalszy, groźniejszy etap upadku.

Drugie wielkie dziejowe pytanie stoi przed nami: Czy potrafimy utrzymać nasze przyrodzone prawo własności do kraju polskiego, które zostało podane w wątpliwość? Pytanie, ze względu na następstwa, nieporównanie donioślejsze od owego z przed lat 300. W grze, która się z niego wyłania, idzie o ostatnie, elementarne nasze dobro, więc o najwyższą możliwą stawkę: o istnienie nasze, jako narodu, posiadającego własne terytorium, zajmującego określony punkt na karcie świata. Idzie o nasze: być albo nie być. A prakty-

czna treść pytania opiewa: Czy zdołamy unarodowić nasze miasta?...

Rozwiązanie sprawy zawisło od nas.

Nie mogą sparaliżować jej najgorsze polityczne konjunktury, przeprowadzić ją możemy wszędzie, bez względu na to, czy ulegamy prawu, czy bezprawiu. Miasta — to handel. Zdobycie ich, to przedewszystkiem zdobycie kan toru kupieckiego, stworzenie własnych źródeł pośrednictwa i wyłączne skierowanie się do nich. Nie może nam tu nikt przeszkodzić. Należy wskazać na przykład wielkopolan, którzy w swej walce o posiadanie miast mieli do czynienia nie, jak Galicya i Królestwo, z jednym tylko i zależnym od siebie przeciwnikiem, lecz z dwoma, a w tej liczbie z panującym, uprzywilejowanym żywiołem niemieckim. Walka z Niemcami, nie bez wiadomego skutku, toczy się dalej, walka z Żydami została już zwycięsko rozegrana. Pokonani polską solidarnością i dojrzałością gospodarczą, Żydzi, niegdyś liczni, ustąpili z wielu okolic bez śladu, a ich miejsca zostały przez nas zajęte. I Wielkopolska jest dziś jedyną naszą dzielnicą, w której zdumiony przybysz może oglądać sen na jawie: mniejsze miasta, zasiedziały wyłącznie przez lechickich tubylców.

Takie zwycięstwo musi odnieść reszta Polski, jeśli pragnie wstrzymać proces przeistaczania się w kraj mieszany. Unarodowienie miast musi stać się przedmiotem nieustannej troski i pamięci milionów Polaków. Musimy czuwać, aby żaden grosz nasz nie dostał się w niepolskie ręce, aby nowoczesna broń: pieniądz, na każdym kroku zasilał nasz własny, nie obcy, arsenał. Z nieznużoną wytrwałością pracujemy nad wpojeniem tego obowiązku wszystkim. Wychowujemy i zaprawiamy do niego nasze dzieci od najmłodszych lat, uczymy je tego obowiązku narówni z codziennym pacierzem, uczynimy go powszechnym, naturalnym, prostym—dzieńdzicznym.

Koniec nie może ulegać wątpliwości.

Papiery nasze, mimo wszystko, nie spadły jeszcze tak nisko, aby przewaga, jaką tworzymy przecież na nieszczęśliwej ziemi naszej, mogła nie zapewnić nam zwycięstwa w tej historycznej walce o prawo wyłącznego i bezspornego jej posiadania.

A. Chołoniewski.



Stano Paradowska. Jesień.

Z-T.Z.S.P. w Warszawie.

Stano Paradowska.

Otwarta obecnie w Zachęcie wystawa zbiorowa prac Stano-Paradowskiej budzi zaciekawienie przede wszystkim tem, że tak daleko odbiega od powszechnych dążeń współczesnego malarstwa, że posiada cechy zupełnie odrębne i oryginalne. Odrębność ta zaś na tem głównie polega, że artystka nie przetapia wrażeń swoich, odniesionych z natury i z własnych przeżyć, na dzieła sztuki malarskiej, ale raczej dla idei, nieraz może zgoła fantastycznie poczętej, szuka plastycznego kształtu. Odbija się to poniekąd i na technice malowania, często zbyt szkicowej, ale za to tem wyraźniej podkreślającej fantastyczność tematu. Fantastyczność też należy do głównych znamion twórczości Stano Paradowskiej, obok silnie napiętego uczucia. Umysł artystki, błąkający się przeważnie w świecie marzenia, każe jej często i w przyrodzie widzieć rzeczy, dla nas niewidzialne, wprowadza nas w świat nadzmysłowy, bajkowy. Taką jest „Bajka leśna“, „Królowa szronu“ a przede wszystkim rysunek „Wiedźmy z nietoperzem“.

Jednakże do zaspokojenia tej gorączki duszy, tego wewnętrznego niepokoju, jaki, zdaje się, jest już nieodłącznym towarzyszem wewnętrznego życia artystki, nie wystarcza chwilowe ukojenie marzenia. Myśl jej sięga dalej i w kilku wielkich płótnach daje wyraz zagadnieniu, od wieków już zaprzatającemu umysł ludzkości, zagadnieniu prawdy i wszechbytu i odwiecznie toczącej się walki pomiędzy Dobrem



Stano Paradowska. Szkic do portretu.

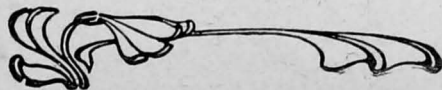
a Złem. Dążenie Fausta, jakkolwiek pozbawione siły poetyckiej romantyzmu, nieobce jest i naszym czasom,



Stano Paradowska. Czarownice.

naszemu współczesnemu życiu. Życie zaś to usiłuje artystka ująć syntetycznie w kilku kompozycjach, z których „Amor w kawiarni“ i „Miasto“ największą zwracają na siebie uwagę. Pomysły tak abstrakcyjne zaciekawiają, oczywiście, nie tylko treścią swoją, ale i plastycznym jej ujęciem. Przeważnie dość pobieżne w rysunku, odznaczają się kolorytem indywidualnym, i szerokim, śmiałym traktowaniem plamy barwnej. Zagadnienia kolorystyczne wysuwają się też na plan pierwszy w kilku portretach, posiadających znamiona szczerych i rzetelnych dzieł sztuki. Czasem znowu, jak gdyby artystka przypomnieć sobie chciała, że była uczenicą Riepina w akademii petersburskiej, maluje studia, wyróżniające się dziwnym jakimś naturalizmem, daleko odbiegającym od zasadniczej linii jej twórczości. Ta zasadnicza linia zaś streszcza się przede wszystkim w kompozycji ideowej, która p. Stano-Paradowskiej zapewnia w sztuce polskiej już dzisiaj odrębne i samodzielne stanowisko.

Feliks Lubierzyński.



Poeta Bałkanu.

Jakaż to głowa potężna umarłego spoczywa na wezglowiu, jaka Wieszczka bolesna patrzy w rysy, które już nie odżyją, na twarzy bułgarskiego Dyonizosa?...

Umarł przedwcześnie, bo długo jeszcze ojczyzna jego będzie dorastała, nim zdoła sięgnąć tych winnic, gdzie sadił on upojne wino Mocy Słonecznej.



Penczo Sławekow.

Miał lat dziesięć, uciekał zimą z rodzicami, miasto zdobywali turcy. Widmo rzezi straszliwej uderzyło wyobraźnię pacholecia. Wśród nocy zimowych, w szalacie pasterza ukryty, słyszał wycie wilków, węszących pożywienia — i, zda się, straszliwsze od wilków sapanie tureckich strzelców. Odtąd spa-

ralizowany z przeziębienia i wstrząśnięć narwowych. — W uniwersytecie w Lipsku, na wykładach Volkelta, zwróciła uwagę moją głową kędzierzawa, wschodnia — niby Otella, o wypukłym czole i gorących czarnych kulach — pełnych myśli i zacności. Zbliżyłem się. Wielekroć chodziliśmy razem po Johanna-Park, z trudem szedł, na dwóch łaskach wsparty, Penczo Sławekow. Już wtedy otaczał go nimbus uznania, choć nikt z Niemców nie czytał go, wszyscy czuli jakąś wyższość. Przekładał mi swe hymny i poematy, owiane Zarathustrową melancholią i zawsze na prometejskich wyżynach. Rozstaliśmy się. Mnie burza życia zagnała do Hiszpanii, potem w głąb Rosji, potem na długo między Tatry, wiry i lasy. Aż w Pradze, na zjeździe słowiańskim, dopytując o Sławekowa, dowiedziałem się, że jest intendentem teatru głównego.

— Więc ma uznanie w ojczyźnie, — pomyślałem z radością.

Wybuchła wojna. Jechałem do Sofii z przekonaniem, że pierwszemu uściskam dłoń Sławekowi — jak grom, razła mnie wieść, iż nie żyje! W maju umarł we Włoszech, nad jeziorem Komo, w rozterce ze swą ojczyzną. Sławekow naraził się, schłostawszy w liście otwartym zja-

zdy „słowian“ reakcyjnych. Pozbawiono go miejsca, w prasie przeciwnej znieważano.

Zdawało się, że jest to już mrok beznadziejny.

Wtedy stanął przy nim tęczy zjaw: miłość, jaka tylko w poematach Danta lub Szelleja jawić się umiała.

Przepiękna kobieta ze sfer dworu królewskiego, poetka, wykształcona myślą i nieszczęściami do wyżyn Ateasy — otacza miłością ostatnie lata wronańca.

Vita Deleda nazywał ją w swych poematach. Uczuł boskość życia właśnie w momencie, gdy najeżyła się przeciw niemu „zła Orisnica“ (niedola). Pozbawiony wszelkiego oparcia w życiu, zyskuje więcej, niż wszystko, gdyż bezmiar niedający się określić Miłości Twórczej.

Umiera szczęśliwy — choć fizyczne cierpi męki, jak dawny mistrz jego, Nietzsche. Lecz umiera w pełni władz duszy, czując nad sobą oczy, pełne łez, i rozpaczne ramiona...

— — — Nie zamierzając dawać tu studium większego (pisał J. Grzegorzewski w Świecie słów. Nr. sierpniowy), wspomnimy jeno, że Sławekow dokonał przekładu poetów niemieckich, kierując również przekładem Zarathustry przez Marę Belczewą; wydał świetną ironiczną autobiografię „Na wyspach błogosławionych“; studia literackie o twórczości ludowej, o Mickiewiczu i t. d.

Małe grono wielbicieli wyróżnia nadewszystko „Krwawą pieśń“; grono to obejmuje pisarzy współczesnej Bułgarii: prof. Krestjewa, Todorowa, Jaworowa, Peniewa, Marę Belczewą. Tej ostatniej dom stał się istnym mauzoleum, gdzie pamięć zmarłego poety przeobraża się w Słoneczną Moc, która kiedyś gróbprzełamała. Miejmy nadzieję, że w tym i w innych wypadkach rozblśnie nad Słowiańszczyzną prometeizm wolności twórczej, uznana praca myślicieli, intuicyja genialna wieszczów, pogłębiająca religię narodu. Dla zapoznania bezpośredniego publiczności polskiej, dajemy fragment z poematu. Ma za temat powstanie bułgarskie, srogo stłumione w r. 1876, które tak fatalnie odbiło się na życiu i zdrowiu Poety.

Krwawa pieśń.

RAPSOD II-gi.

W obłokach czoło, w płaszczu mgły — z straszliwych oczu miota Bałkan skry, w rycerskich marzeń niesion zapomnienie; jak stary wódz na straży, patrzący het — w cieniu bezkresnej nocy, gdzie iskrzą namioty młodego junactwa.

Jeszcze w zorzy złotej mego dzieciństwa serce me porywał. A teraz myśl skrzydlata, jak morski wzdęty przywał, od cudzych krajów gna mię — na inny święty brzeg. Czy nie ojczyzny mej, męczonę z wieku w wiek, cudowny wid — wśród sennych oczarowań, powstaje z wilgnych sklepień, z mogiły swych pochowań, z zapomnień, którym miano „nigdy“ nadał urzędny kat?... W dzieciństwie śniłem, że tam „hajducki“ świat,

o w tajemniczych górach świecił mi Bóg oczami, to burzą grzmiał, to fletnią wiosny grał. Lecz potem męka współczesności związuje łańcuchami.

Serce me złote dnie i dnie nieszczęścia zna i gorsze, niżli wszystko — dnie moralnej nędzy... Azali jedną stratę moje łzy trujące oplakiwały? azali nie na rydwany tętniące wznosiło życia hymn i pomiędzy bogów stawilo Miłość?

Zawistne, złe Fatumy rzucały nieraz okręt mój tam, do przeklętych skał, i byłem osamotnion, niekochany, w płaszczu odzian dumy — dziś tu, jutro tam — niewolnik lub wędrowiec... A z przemian ustawicznych tworzył się sypki grobowiec, a z męki zbyt ciągłej — wstręt... Lecz oto w Malsztremie, gdzie wszystko ściera się na pył, czarowny dźwięk odniemię: wy, wiecznie istniejące, niezmiennne wśród przemiany, majestatyczne, dumne, ojcyste me Bałkany! w mej duszy pogrążone Świętem Świętych... Widzieć was chcę inaczej, niż tylko wśród głów ścietych!... Bolescią rozjuszono serce, — jak odyniec, któremu w mięso kula się zaryje: on pędzi w las, gdzie święty źródło „kładyniec“, pełen lekowych ziół, — tak serce me tęskniąc, wyje. Lecz oto dumna pieśń z mej rany słowianina w ofiarny, rośnie żar i rwie się tam, do gór, gdzie srebrnowichry, w niebiosach wzięty mur, nad którym modra, ciemna niebiosów kontyna i gwiazdy — u Boga już — w tryumfie majestatu. Zaśpiewam pieśń — niechaj Bałkan! me serce nazbyt drży... Samotny jestem i nieznanym światu; wieszczą mi złote gwiazdy, niby hieroglify, a w tę wiosenną noc dusza ogniami mży... Idę... gdzie jestem? w krajach, gdzie kwiat już nie zwiada, gdzie szumią skrzydłami czarne płomieniące gryfy, a gór Milczenie mówi, jak święta legenda.

— Obłoki lecą u mych kamiennych stóp — mijają wieki, pędzą, lub zwolna, jako karawany. Mój sen głęboki — nieraz przerywany... Pomnę: z ciemnych od dali wzbil się ognia słup — to żertwy płomień szuka w niebie Żyjącego! dogasa... Oprócz ciemnic losu, mędracy nie dostrzegą żadnego Jestestwa tam!... Pośród leśnej huszczy fletnia wolnego owczarka, co goni swoje stada... Wróżyta stary w cieniu świętych kuszczy dębu tysiącletniego widzenia swe spowiada dla najgodniejszych, zebranych tam na wiec... Mijają wieki — i, zda się, pragną ledz, jak stada owiec nocą... chyli się w mrok powieka. Zbudzony słuch mój dosięgł nagle echa tarczy spiżowych... I kiedym rzucił swe wejrzenie, Car Symeon wznosił wielki siny kord — na morzu okręty zdobywać idą Carogródzki port, nowa jutrenka rozżlająca bizantyjskie cienie... Lecz tłum zwycięża słowian: mistyczna złota róża!... Wznosił wicher się obłoków — ciemna tu wieków burza — ujrzałem mordujące się wzajem pokolenie — syn ostrą kopię w pierś ojca zanurza... Wśród spustoszonego miast dzika pustynia. Rój idzie ascetów — w imię męczeństwa na krzyżu wzgardzili światem; hebrajski zakon ich dusze przyskrzynia; mieszkają w grotach, w dębach — nie schodzą do niżu tych ziemnych marności, które słodzą dzień człowieczy. Zgon jest marzeniem ich, a nikt z obłędu nie wyleczy! Przy mnie są, a nie rozumieją mego pozdrowienia. Mijają wieki; wichrowe czują drżenia, ale daremno szukam Promethidiona człowieka... Wśród azyatyckich pustyń idą turkomany, jak krwawy wodospad z zamętem wściekłej piany. Wzleciały orły na skalne me wierchoły, przynosząc zdarte mięsa... W dole poprzez mgłę — rząd konających, wbity ohydnie

na koły — ich twarze spiekielnione, ich wnętrza litość rwie, gdy słyszą dzieciń jęk, wyrwanych od macierzy. I zakrakaly kruków stada — od Złego Ducha rubieży lecą ku ziemi, która już złożyła szyję pod jarzmo, swarów związana niemocą. Tu na multankach faun zwoluje kochanków nocą, lecz tylko mu szyderczy puhaczów klaszcze śmiech — ponad rumowisk ołtarzem gnijący, trupi dech... Nie zmarłaś, ojczyzno ma! kryje się w tobie życie — orfickie pieśni, jak źródło w pustynnym granicie, i nawet Weda słowian wyrasta wśród cmentarzy — gdy Duch zamiera w was — ja, Bałkan, trwam na straży! — Zamilknał ciemny głos w nadgwiezdnej wysokości i głucho echo zapadło w dzikie lasy między wąwozy tarnin, gdzie rosa zmywa kości, gdzie niezabudki wróżą jakoweś złote czasy. I usłyszałem znów, jakby legendę świętą, w wiosennej nocy odczarowaną, w zjaw zaklętą...

— Nasz grzech, naszą niewole omyły matek lzy i narodowy duch zbudzon z zwierzęcej mgły. Nie mlekiem tu niewolnic karmione niemowlęta, potwornym rzeziom i fałszowi nasz protest rzucił miecz, złączymy wszystkie siły... Rozumna i natchnięta zwycięży nasza sprawa... Marico, szum! wodami zlecz pięciowiekowy wstyd... Lecą drużyny tam, gdzie raz ostatni bóg wybuchnie o Swobodę — słyszcicie pieśni już?! junaków serca młode biją, jak struny harf — Jarzmo swe, ziemio, złam! — — Zamilknał w wirach głos — i wieszczu wzrok proroka wznosił Bałkan aż do gwiazd... Westchnęła bólem opoka — spełni się życia wlot? czy spełni się jeno zgon? Wiosenny potoków śpiew napełnia mię, jak dzwon, i coraz głębszy słyszę, coraz cudniejszy ton...

Pisała Mara Belczewa na dwa lata przed zgonem poety, jakby przeczuwając, że nie doczeka się on czasu, gdy szturmem zdobyte będą wzgórza Kirkilissv, a meczet Sultana w Adrianopolu — będzie błagał, aby jego wymarzone minarety oszczędził grad szrapneli i tysiącfuntowych pocisków. A teraz, nie śmiąc wrócić do pałacu swego, aby nie ujrzyć widma, które jej szepnie: — już nigdy! — w komnacie przyćmionej waży, co zwycięży: szalony Dyonizyjski śpiew, czy martwica bólu?

Zasłona mroczna cięży nad szyb lustrami... Igrające słońce palce rozpościera przez aksamitne frędzle... Umarły leży — niemo spoziera.

Cienie od gnących się drzew na wicherze — zadrgnęły milczaco — odbiegły, zbliżyły się znów; cienie te gonią Cień. Mą duszę niema, jak głównie gorzejąca, otula mrok — bez drzeń...

I rozpostarło słońce ramiona aż do zmarłego; niby dusza żywa, wskoczyło tam — w ten jego wzrok! Na krwawym nożu mignęło, wejrzało w mój grób — z łękiem się cofa; i jak cięciwa bez strzały już — zapada promień — w mrok.

Sofia.

Tadeusz Miciński.

Zdradziecko nagle rozwarłaś swe oczy.
 Przyjąłem śmiało wzrok. Jaśminów woń
 nie tak drapieźnie zmysły nocą mroczy,
 nie tak lubieżnie poprzez nozdrza w skroń
 nienasyconych pieśczoł raje wpędza —
 jako twych oczu fosforyczna przedza
 pragnieniem nagłem duszę mi spowila.
 Jarzą twe oczy. Na ciemnym ekranie
 twarz twoją czuję — i w oczach pytanie.
 A na dnie oczu przyczajona siła...
 Patrzę. W jedwabnym gorejącym szalu
 یرwa nieruchoma, blada maska grzechu —
 piersi i biodra stygną bez oddechu —
 jako ofiara rozdarta na palu,
 trwasz w ciszy nocnej. Ale krzyczą groźne
 oczu twych blaski jeszcze niewywiane,
 jakby bolesną chciały targnąć ranę,
 jakgdyby oto na twych piersi białość,
 krwawiąc, spadały biczyska powroźne.
 Lecz cisza. Milczą oczy. — Jaka śmiałość —
 ile pogody w tem iskier przyćmieniu —
 ile urody — w jednym okamgnieniu...
 Patrzę zbyt długo... W pewnej dziwnej chwili,
 gdyśmy ku sobie twarze pochylili,
 z puszczy twych oczu nagle z cichym szmerem
 wysypał ku mnie perł sznur niżany
 na złoty promień... I w zawrotne tany
 puścił się milion, zero tańczy z zerem,
 a ja na płas ten patrzę — obłąkany.
 Tańczcie mi, oczy!... Na sznury was niżej,
 wiankami meki mej ukwiecę krzyże —
 złowrogo spojrzę w gwiazdy ta Kalwarya
 milionem oczu bez krwi...

Jezus Marya!...

No, zamknij — proszę — zamknij...
 Patrzysz?... rozwierasz szydzące źrenice
 jak dwa kratery?... buchasz z nich pożogę
 zielonych ogni... Gaśnie twoje lice —
 i tylko oczy, tylko straszne oczy,
 rude, jak rdza rozdartych twych warkoczy —
 Zamknij!... czy słyszysz?... bo ja już nie mogę!
 wbiję te krwawe kamienne księżycy
 do grot więziennych czaszki twojej trupiej
 na wieki!...
 Twarz z alabastru siekierą rozłupię,
 a potem świętą twą podniosę głowę
 i pieścić będę każdą jej połowę,
 zimną, jak dusza, w której nic już niema —
 Daremnie... Już mię dłoń żelazna trzyma,
 już się nie dźwignę. Daj mi oczy twoje,
 bo już ich pragnę, bo już się nie boję —
 wygrzęzę usta, co w pragnieniu stygną,
 lecz nim skonają — w gwiazdy krwią wyżygną!
 Oczy — twe oczy — zamknij!...

Nie — otwieraj!...

Zgaśnij!... nie! umrzyj!... nie!... o, nie umieraj!...
 Oczy...

hej, ludzie, do mnie!...

precz odemnie!...

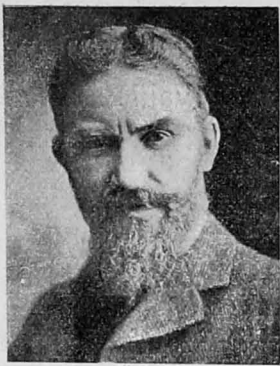
Bierzcie — najgłębsza znieście ciało ciemnie,
 a jeśli promień jeden tam się wciśnie —
 tysiąc na pal — tysiąc na stos — tysiąc zawisnie!...
 Już — już — do lochu — jak słodko — jak ciemno —
 dna niema — — Mrok — —

I oczy twe nademna...

Feminizm na scenie.

Z teatrów paryskich.

Maurycy Donnay przyszedł pod kopułę Akademii Francuskiej ze wzgórze Montmartre. Poeta z plejady „Chat Noir“ szedł powoli aż do najwyższych szczebli, jakie rozgłos i uznanie dać może Francya pisarzom swoim. Ale, zasiadłszy w fotelu poważnych nieśmiertelnych, nie zostawił Donnay u wrót tego lekkiego, gawroszowatego dowcipu, który skrzy się tam, na również nieśmiertelnem wzgórze, od kabaretu „du Lapin Agile“ aż po następców „Chat Noir“, aby zamrzeć nagle w zgiełku rozświetlonych do rana restauracyi Place Pigalle, zawładniętych przez zaledwie rozumiejących attycką sól francuskiego języka włóczęgów-kosmopolitów świata całego. Jest we Francyi, w Paryżu raczej, pewien dowcip specjalny, który lekko drwi z siebie i innych, który nie przebacza nikomu, zadrga wesołą nutą nad trumną najwięcej żalowanego, jak roześmieje się całym sercem, obsypie ironią każdą sławę, każdy sukces. Pierrot francuski skacze i drwi, śmieje się przez łzy nawet. Beaumarchais już powiedział: „Chwalony przez tych, strofowany przez innych, kpię sobie z głupich, wyzywam złośliwych, śmieję się ze wszystkiego... z obawy, abym płakać nie musiał“. Ów spryt dyabelski Figar'ów, paradoks błyskotliwy, skoczny, który z szybkością nadzwyczajną rzuca jakąś antytezę obok antytezy, aby z ich przeciwstawienia wyciągnąć zabawne, nieprzewidziane porównanie, ów spryt francuski ma jednak często filozoficzną głębię, — życiową gorzką prawdę. Donnay żyje dowcipem. Teatr jego, każdy dyalog skrzy się od owych szczęśliwych „bons mots“, określił komicznych, sięgających prawie wielkości aforyzmów. Życie dla Donnay'a jest to jakiś nieustanny konflikt tragizmu i komizmu. I jeden wkracza w drugi, splata się, przewija — tworząc barwną całość, mozaikę życiową. Gdyby jakiś autor-doktryner wziął temat świeżo poruszony przez Maurycyego Donnay'a, napisałby sztukę z tezą, jakąś teatralną ekspozycję nader ważnego społecznego zagadnienia — feminizmu. Maurycy Donnay dał „Eclaireuses“, którą nowy teatr (z music hall'u zamieniony, o! dziwo, nie na kinematograf, ale na komedię!), Comedie Marigny, przedstawił doskonale. „Eclaireuses“, w nieco odległym tłumaczeniu, to „przodownice“, kobiety-pionierki postępu. I jest ich cały hufiec, pełen wiary w przyszłość, w wyswobodzenie kobiety. Ale Donnay stawia przed widząmi konflikt nowy, nieprzewidziany: starcie się idei feministycznych z uczuciem, z miłością. I miłość zwycięża. Cztery akty „Eclaireuses“ są prowadzone ku temu rozwiązaniu z werwą niezwykłą, a parę scen miłosnych,



Bernard Shaw.



M. Brieux.



M. Donnay.

zwłaszcza scena ostatniego aktu, ma w swej schyłkowej, jesiennej melancholii siłę i sentyment ogromny. Treść? Oto w kilku słowach: Janina Dureille cierpi w niewoli, w jakiej pograżyło ją małżeństwo. Feministka z przekonania, pragnie rozpocząć walkę od wyzwolenia swej własnej osoby. W pierwszym akcie jesteśmy obecni przy ostrej dyskusji pomiędzy nią, mężem jej, przyjaciółką jej, Germaine Luccan, i przyjacielem męża, Pawłem Lehelloy, który ma dużo sympatii dla ruchu feministycznego i jedzie w podróż naokoło świata leczyć się z zawiedzionej miłości. Mąż Janiny brutalnie wyrzuca za drzwi przyjaciółkę jej, utrzymując, że teoryjami swemi podnieca ją i mąci spokój domowy. Następuje gwałtowna scena pomiędzy małżonkami, i Janina oświadcza, że chce się rozwieść. Akt drugi—w rok później: Janina, rozwiedziona, rzuciła się w walkę o prawa kobiety. Widzimy ją otoczoną „przodownicami”: Rose Bernard, doktorka medycyny, Blanche Virieu, która kandydowała o krzesło deputowanego, Charlotte Alizette, przemiała i ekscentryczna literatka, Lucienne David, adwokatka, mała „sufragetka” angielska, która dopiero co odsiedziała więzienie za swą zbyt gorliwą propagandę, i doktorka Orpailen, ubrany prawie po męsku stary typ feministki pierwszej doby, odbijającej jaskrawo od eleganckich, wykwinnych koleżanek, pracującej zresztą nietyle z potrzeby, ile z upodobania, dla idei i może... dla oryginalności trochę. Zebranie decyduje założenie szkoły feministycznej, na którą kapitałów dostarczy żyd, bankier Steinbacker, uwijający się w niedwuznacznym celu około Janiny. Ale Janina, pomimo oddania się pracy, cierpi; jakaś niewysłowiona nostalgia ją ogarnia, i doktorka jej, Rose Bernard, oznajmia jej krótko i dobitnie, że pragnienie niewysłowione — to poprostu potrzeba miłości. Jacques Lehelloy wrócił z podróży, kocha oddawna Janinę — i ta pada mu w objęcia, jak każda zwykła kochająca kobieta, zapominając w uścisku o wszystkich zapasach i antagonizmach obu płci. W następnym akcie rozwija się właśnie ów sentymentalno-społeczny konflikt, który, zdaje się, specjalnie zainteresował autora: Janina jest szczęśliwą, kocha Pawła,

ale, pomimo wszelkich jego nalegań, nie chce wyjść za niego za mąż. Tymczasem poprzedni jej mąż czyni prawne kroki, aby odebrać jej dziecko, uważając, że środowisko, w jakim żyje Janina, jest szkodliwym moralnie. Napróżno Paweł tłumaczy Janinie, że nie zachowa pieczy nad dzieckiem, jeśli nie zaślubi go, ale dla idei, dla zasady Janina odmawia, i kochankowie rozłączają się. W ostatnim akcie jesteśmy na cichej, spokojnej wsi, w starym dworcu, gdzie w smutku wlecze szare dni Paweł. I Janina przybywa. Poznała do głębi wszystkie niebezpieczeństwa, na jakie wystawiała ją osamotnienie; bankier Steinbacker brutalnie i ordynarnie starał się ją pozyskać. W zapadłej wsi, wieczorem, w tym pokoju, zastawionym starymi meblami, gdzie z kątów tchnie cichem, zrezygnowanym życiem, Janina zdejmując kapelusze, siada w fotelu i zostanie tutaj, zmieniona, już nie kobieta walki, ale tylko kobieta... Dla Donnay'a miłość najlepiej rozwiązuje kwestye feministyczne, ale owo rozwiązanie, bardzo blizkie paradoksowi, jest mocno stronnie i obmyślane na wyjątkowy wypadek. Nie głębi więc filozoficznej, nie rozwiązania społecznego zagadnienia szukać w sztuce tej należy, ale znakomicie przeprowadzonej intrygi, świetnego, dowcipnego i błyskotliwego dyalogu, którego wysokie zalety uwydatniła doskonała gra aktorów. W ostatnich dniach pokrewny temat poruszył Brieux w sztuce „Kobieta samotna”. Nic tam niema ibsenowskiego. Jest to również nieco powierzchowne, dobrze skomponowane postawienie... bez rozwiązania kwestyi kobiety, rzuconej bez ochrony na pastwę losu. Ale co ratuje zawsze sztuki francuskie—to wspaniała dyalektyka, humor lekki, czasami omgłony lekką melancholią, szczyptą smutku, uśmiech poprzez łzę... Innym, przykrym, targającym nerwy, drażniącym wprost jest ta szarpanina, jaką są sztuki Bernarda Shaw. Ciekawość to autor, zgryźliwy, pełen owego typowego angielskiego humoru, który każde clownom wśród koziołków i błazeństw zatrzymać się nagle, aby deklamować „być albo nie być” Hamleta. Tłumacze Shaw'a na język francuski, pan i pani Hamon, nazwali go „angielskim Molierem”, co jest wygórowane, ale na tłumaczeniu poło-

żyli napis: „przetłómaczone na usilne żądanie pana Shaw”, — co jest znowu niedelikatnym bluffem. Shaw jest stanowczo niezmiernie zdolnym humorystą, który pamięta dokładnie *Klub Pickwicka*; lubi on ostro narysowane sytuacje, konflikty trochę szarżowane, jak tego z wielkim talentem dał dowód w „Profesji pani Warren”. Obecnie przedstawiona w Theatre des Arts sztuka nosi tytuł: „Nie należy nigdy mówić”..., co właściwie jest równoznaczne z „Que sais je” *Montaigne'a*. Treść niezbyt skomplikowana, a cała wartość i moc sztuki opiera się na rysunku szkicowym, ale pełnym charakterystyki, figur i na dyalogu chropowatym, nerwowym, chwilami prawdziwie komycznym, ale nieprzyjemnym, zgrzytliwym. Pani Claudon, kobieta nader emancypowana i, naturalnie, rozwiedziona z mężem, panem Crampton, typowym sentymentalnym mieszczuchem, ma troje dzieci: Gloryę, Dolly i Filipa, wszystko troje wychowane po cudacku. U biednego dentysty, który czeka chciwie na klientów, leżą się Dolly i Filip, i zapraszają zęborwacza na śniadanie do matki. Ale dentysta ma długi, zwłaszcza winien właścicielowi domu, więc sprowadza go także ze sobą do pani Claudon. Rzecz prosta, że ów właściciel domu — to ojciec trojga niezdolnych dzieciaków, Crampton. Glorya całuje się z dentystą, Crampton, zrazu oszołomiony przyjęciem dzieci, które nawet nie chcą widzieć w nim ojca, przebacza wszystkim, i dentysta poślubi Gloryę, feministkę, także pełną frazesów, którą rozbroił pocałunek w usta...

I tu, i tam, francuz subtelny i angielski brutalny rozstrzygnęli feministyczne rewindykacje... pocałunkiem...

Kto wie, może to istotnie najlepszy środek?

Paryż. K. Daniłowicz-Strzelbicki.

Nasi rodacy w Paryżu.

Koncert Paderewskiego.

Oddawna nie pamiętam takiego ruchu, takiego przepelnienia, jakie panowało zeszłej niedzieli w Sali Konserwatorium. Prawie wszystkie miejsca rozchwyte były przez abonentów. Kupowano małe stołeczki pod nogi dla dam i umieszczano je w przejściach. Sala była natłoczona po brzegi. Grał Ignacy Paderewski. Należy całą powieść prawdę. Paderewski nie miał nigdy we Francji tych entuzjastycznych przyjęć, do których przywykł w Londynie, lub za morzem. Pamiętam jego koncert w Sali Chatelet, u Colonne'a, gdzie grał koncert Beethovena, i pamiętam gwizdania, jakie przyjęły dość szczerze skądinąd oklaski. Prze kilku laty grał w Sali Erard'a z powodzeniem, dalekiem wszelako od entuzjazmu. I nagle coś się zmieniło. Ze wszystkich sal wielkich koncertów paryskich najtrudniejszą do zdobycia jest Sala Konserwatorium. Bywają tu znawcy, ludzie spokojni i poważni. Oklaski są tu zaledwie dosłyszalne, zaledwie grzeczne. Paderewski grał



Ignacy Paderewski.

tym razem koncert Szopena *en fa mineur*. Grał znakomicie, z poezją nadzwyczajną, ze spokojem artysty, który opanował w zupełności swą sztukę. Przyjęcie było niewysłowione. Sala cała wstała i oklaskiwała bez końca, aż Paderewski dodał Marsz wojskowy Szuberta. Jest to fakt niezmiernie rzadki, gdyż lodowata publiczność koncertów Konserwatorium nie oklaskuje prawie nigdy, a tem mniej żąda powtórzeń i dodatków nad program. Drugi koncert będzie równie zapelniony i, zdaje się, że sukces będzie jeszcze większy.

Paryż.

K. D.-S.

Ulubienica warszawska na studiach.

Pogodny dzień styczniowy, nad wielkim bulwarem unosi się ranna mgła błękitna, środkiem szerokiej ulicy suną nieskończone węże samochodów, *autobus'ów* i pojazdów, chodniki wypełnia tłum gwarny i ruchliwy. Na rogu ul. Lepelletier, wśród ciżby przechodniów, zwinnie przemyka się niewysoka postać kobieca: okrągła, ładna twarzyczka, oczy niebieskie, żywo i wesoło na świat patrzące, włosy złote. Niema wątpliwości. To eks-primadonna dwóch teatrów p. Ludwika Śliwińskiego, jedna z najlepszych polskich artystek komedycznych, uroczą diva operetkowa, która dla poważniejszych tryumfów wokalnych rzuciła nagle scenę warszawską, występowała przez czas jakiś w Niemczech, od roku studyuje śpiew w Paryżu. Pani Ćwiklińska.

Serdeczne powitanie, i razem już idziemy wąską uliczką, po ciemnych i rzetelnie karkołomnych schodach dostajemy się na trzecie piętro. Jestem w skromnym pokoiku primadonny, wynaj-



Pani Ćwiklińska w karykaturze.

mowanym od zamieszkałej w Paryżu rodziny polskiej.

— Co pani porabia?

— Uczę się. Biorę lekcje od świętego, niezrównanego mistrza—Jana Reszkego. Opracowuję przyszły repertuar. Studyuję „Thais”, „Manon”, Małgorzatę („Faust”), Elzę („Lohengrin”), Elżbietę („Tannhäuser”), „Violette”... cały szereg innych oper. Kiedy zacznę występować? Za parę miesięcy. Gdzie? Sama nie wiem. Może w Paryżu, może we Włoszech, może jeszcze gdzieindziej. Ale za granicą. Do Warszawy przyjadę, gdy już będę miała za sobą sukcesy zagraniczne, albo nie przyjadę wcale.

— Komedję porzuciła pani na zawsze?

Pani Ćwiklińska zaprzecza energicznie:

— Wcale nie. Skoro zdarzy się sposobność...

I dodaje:

— Ach, gdyby nie było mi żal tej pracy, którą już włożyłam w naukę śpiewu, tych ofiar i poświęceń, które poniosłam... Czy pan rozumie, czym jest życie bez teatru dla takiego dziecka sceny, jak ja? Czasein, gdy nadchodzą gazety z Warszawy i zostają z niemi sama, i wczytuję się w „Wiadomości teatralne”, ogarnia mnie taka tęsknota!... I taka ochota!... Lecz nie! Przedtem muszę osiągnąć to, co zamierzylam. Oparłam się pokusom propozycji, które czyniono mi z Warszawy. Muszę dopiąć swego!

I w słowach tych dźwięczy energia, która usuwa wszystkie wątpliwości.

Paryż.

Gordon.

Bal Tow. Art. polskiego.

W eleganckiej sali na Polach Elizejskich odbył się w tych dniach pierwszy bal Towarzystwa artystów polskich. Od niedawna założona ta instytucja rozwija się pomyślnie pod prezydencją Wacława Sieroszewskiego. Wiceprezesem jest Tadeusz Gałęcki (Andrzej Strug), sekretarzem Henryk Korab-Kucharski, skarbnikiem Stefan Kinderfreund. Pani Bronisława Ostrowska



Szkic Matejki (główny nos na tomboli balu art. polskich w Paryżu).

kieruje częścią literacką, Zak sekcją rzeźby, ksiądz Plewka-Plewczyński sekcją muzyczną. Główny deki przyjął obowiązki gospodarza lokalu. Gospodarzami balu byli: hr. Tyszkiewiczowa, bar. Taube, pp. Jurjewiczowie, Halpertowie, Jan hr. Potocki, hr. Zyberg-Plater, Jan Reszke i t. d. Bal,

poprzedzony koncertem, udał się świetnie. Część wokalna, o starannie ułożonym programie, dała poznać talenty p. Sandro Gryf-Trzecieckiego, p. Jana Majerskiego i in. Największą jednak atrakcją koncertu było ukazanie się na estradzie znakomitej śpiewaczki, pani Calras-Długoszewskiej, która zresztą kilka dni przedtem zbierała sute i zasłużone oklaski na koncercie w Sali „Femina”. Przepyszny głos, wspaniała dykcja, postać niezmiernie wdzięczna i elegancka. Pani Długoszewska posiada zatem wszelkie widoki zdobycia wielkich powodzeń na estradowych scenach

Paryża. Długie oklaski nagrodziły artystkę, która z wyszukaną subtelnością i uczuciem odśpiewała „Pieśń” Paderewskiego i doskonale skomponowaną arję E. Morawskiego „Oh! open the door” z akompaniamentem autora.

Po mazurze i kotyllionie rozbawieni goście artystów polskich rozjechali się nad ranem dopiero do domów.

Dla okras sali urządzono tombolę, wśród której znajdowały się dzieła Matejki, Gierymskiego, Wyspiańskiego, Jasińskiego i innych

Paryż.

D.

Włoch, przyjaciel polaków.

Pod powyższym tytułem wychodzi w Rzymie od dwu lat czasopismo, które polecamy uwadze czytelników, zwłaszcza ze sfer parlamentarnych i prawniczych. Czasopismo to poświęcone jest wymowie, jako takiej, t. j. sztuce mówienia we wszystkich jej przejawach i na wszystkich polach: z trybuny parlamentarnej, przed forum sądownym, z katedry uniwersyteckiej i t. d.



Antonio Russo.

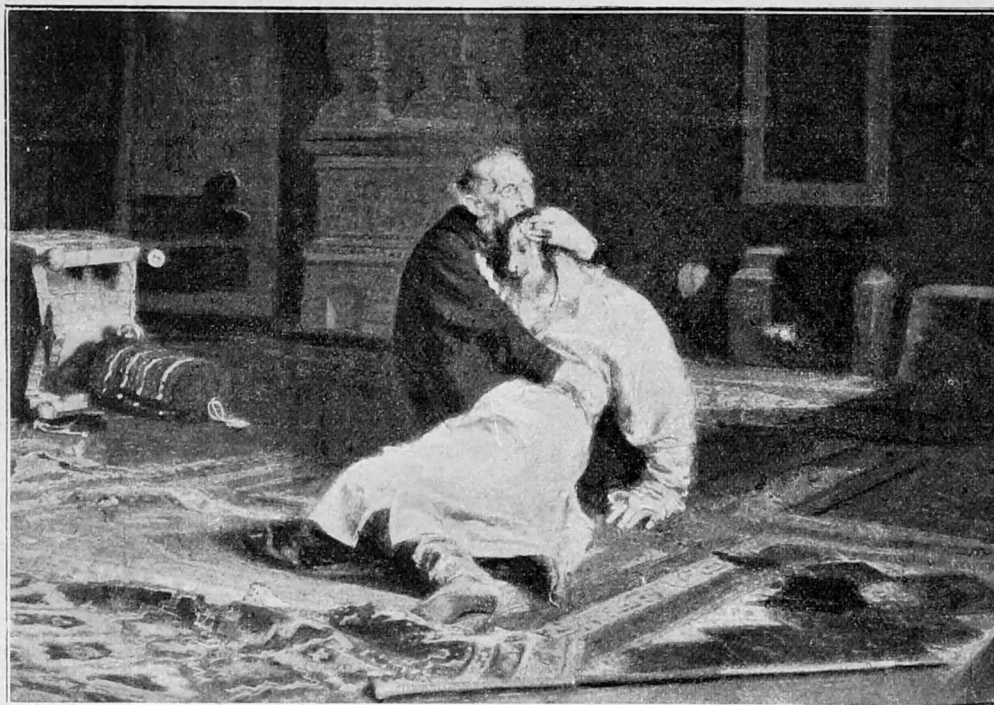
Nawiązanie do dawnych tradycji, wydobyć na światło dzienne bądź zapomnianych, bądź rozproszonych skarbów żywego słowa, w którym odzwierciedlają się myśli i uczucia, wiara i zwątpienia, namiętności, bóle i pragnienia przeszłych pokoleń, — a dalej, przekazywanie potomnym wszystkiego tego, co duch ludzki w tej dziedzinie stwarza obecnie pod wpływem hasel i prądów socjalnych, politycznych, religijnych i naukowych—jest zadaniem, jakiego się podjęła „Eloquenza” i jej naczelny redaktor, adwokat Antonio Russo.

Młody ten i wybitny prawnik i publicysta włoski, o rozległej kulturze, stworzył w istocie czasopismo, jedyne w swoim rodzaju w świecie. To też „Eloquenza” w stosunkowo bardzo krótkim czasie swego istnienia zdołała wzbudzić wielkie zainteresowanie nie tylko we Włoszech, ale i za granicą.

Ostatni jej zeszyt (za grudzień, 1912), wydany, jak zawsze, w pięknej szacie zewnętrznej, równie bogaty i rozmaity co do treści, zawiera pośród licznych artykułów (mowy: kardynała Capecelatro, deputowanego i b. prezesa ministrów, Luzzatti'ego, Bismarcka, senatora Garofalo i in.) mowę poła Korfantego w sprawie wywłaszczenia, wygłoszoną w sejmie pruskim 30 października 1912 r. Mowę, przetłómaczoną według stenogramu, poprzedza 10-stronicowy artykuł wstępny, zaznajamiający czytelnika włoskiego z polityką gwałtu, jaką rząd pruski stosuje wobec ludności polskiej w Poznaniu. „Eloquenza” ma zapewnione stałe współpracownictwo polskie. Adres redakcji i administracji: L'Eloquenza, Roma, via Calamatta, villino Ravà.

Rzym.

Z.



Słynny obraz J. E. Riepina, w galerii Tretjakowskiej w Moskwie, przedstawiający Iwana Groźnego z synem, został w dniu 29 stycznia pokrajany przez subiekta A. Bafaszowa.

Czy urządzić w Warszawie w roku 1913 Wystawę Rękodzielniczą?

Ankieta „Świata“.

W pewnych kołach, gromadzących ludzi bardziej pomysłowych i energicznych, powstał, w samym ogniu bujnego karnawału tegorocznego, projekt zorganizowania wielkiego popisu rzemieślniczego.

Słyszymy rozumowanie takie:

„Oddawna nie mieliśmy wystawy na większą skalę...

Obecna chwila, w której nasz ogół w żywszy sposób zainteresował się sprawami krajowej produkcji i sprawnością polskiego rękodzielnika, zdaje się wyjątkowo sprzyjać podobnemu przedsięwzięciu. Pod statek wystawowy fale same podływają...

A więc, — wniosek, — urządzmy niezwłocznie wystawę“.

Dla omówienia tej idei zwołano zebranie z kilkudziesięciu ludzi pióra, pracy i czynu. Przedstawiono im referat o potrzebie i użytku wystawy. Wysłuchano szeregu zdań kompetentnych. I zaraz uchwalono wystawę rękodzielniczą na rok bieżący. Istnieje już komitet honorowy i komitet wykonawczy, a na czele tego przedsięwzięcia widzimy popularną i zasłużoną postać ordynata Maurycego Zamoyskiego.

Wszystko to odbyło się bystro i do głosowania przystąpiono odrazu. Należy jednak zauważyć, iż takie projekty, jak wystawa, znajdują się w każdym kraju w stanie ciągłego wzrostu dojrzewania, w stanie nieustannych, choć zwykle niedostatecznie formalnych studyów. I u nas od kilkunastu lat mówi się i pisze, od czasu do czasu, o potrzebie, o użyt-

ku, o dobrodziejstwach przyszłej koniecznej wystawy krajowej w Warszawie na wielką skalę. I może tego tylko potrzeba było do wprowadzenia nieustannego projektu w pierwsze kształty życia, aby ktoś rzekł energicznie i z przekonaniem:

— Zaraz! Jutro! Do roboty!

Pod naciskiem decyzji, już powziętej, pod presją komitetów, już utworzonych i obiecujących nam rozwinięcie wielkiej energii w jak-najkrótszym terminie, to, czego temu projektowi brakuje, mianowicie *studya przygotowawcze*, odbędą się w tempie szybkim, i bardzo niezadługo, z pewnością, ogół nasz będzie wiedział o tem przedsięwzięciu wszystko, czego mu do wyrobienia sobie opinii potrzeba.

Podnoszą się jednak w tej chwili jeszcze ciche głosy ostrzegające, że wystawa rękodzielnicza już w roku 1913 byłaby dla rękodzielników przedsięwzięciem ryzykownym. Horyzont polityczny zbyt jest jeszcze chmurny, aby czynić w każdym razie kosztowne przygotowania do wystawy, którą okoliczności mogą unicestwić. Taka wystawa, na wielką skalę, potrzebuje kapitałów niemałych. Skąd ich wziąć? Sam rzemieślnik musi na przygotowanie się do niej mieć i pieniądze, i czas, i pewność, że to mu coś w zysku przyniesie. Słyszeliśmy dotychczas głównie ludzi pióra, w kole których projekt ten powstał. Co myśli o tem sam rękodzielnik?

Poważne te ostrzeżenia, z szanownych ust pochodzące, zanotowali-

śmy pilnie, aby wziąć je za podstawę do naszej ankiety. Zwróciliśmy się następnie do dwóch ludzi z prośbą o wyrażenie nam swego zdania w tej sprawie, — ludzi bardzo kompetentnych, którzy mają o niej przekonania wręcz odmiennie. Narazie podajemy czytelnikom naszym te dwa sprzeczne głosy, obiecując sobie wrócić do tej sprawy w miarę, jak przybierać będzie kształty realne i poważne.

Głos krytyczny,

p. Józefa Bleszyńskiego, dyr. Wystawy Ruchomej Król. Polsk., red. pisma specjalnego „Przemysł Krajowy“, organizatora wystawy przem.-spoż. w r. 1909.

P. Józef Bleszyński uważa wystawę rękodzielniczą w roku bieżącym za niepożądaną.

Jego główne argumenty dają się sprowadzić do następujących:

1-o. Czas jest bezwarunkowo zbyt krótki, aby urządzić wystawę dość poważną, a więc i dość użyteczną.

2-o. Wystawa rękodzielnicza w tym roku przeszkodzi, a conajmniej zaszkodzi, projektowanej od lat szeregu wielkiej wystawie całego naszego przemysłu, zarówno drobnego, jak i wielkiego.

3-o. Nie skupi ona wszystkich sił produkcyjnych, jakimi rozporządza nasz kraj, i pozostawi po sobie ferment.

4-o. Rzemiosła nasze przechodzą jeszcze stan upadku, spowodowany wstrząśnieniami rewolucyjnymi.

— Co do nagłości tego projektu, — mówił nam p. Bleszyński, — to niesposób nie zauważyć, że zdziwił on bardzo wielu ludzi, już to specjalnie u nas zajmujących się *wystawnictwem*, — że pozwolę sobie na ten nowotwór, — już to mających w tym kierunku nabyte doświadczenie i znajomość dokładną sfer rzemieślniczych. Wystawa ma być urządzona w tym już roku?! Łatwo to postanawiać takie rzeczy, jeżeli się nie dotknęło samemu do pracy, jaką w to należy włożyć. Trzebaż przecież dać czas naszemu rzemieślnikowi do wykonania wyrobów na wystawę. Wystawa — to popis, to przegląd sił, zdolności, środków. Na takim popisie nietylko o to idzie, co się w warsztatach naszych faktycznie robi, ale i o to, co się tam może robić. Nietylko o wykazanie naszego stanu posiadania, ale i o pokazanie tego wszystkiego, co może stać się przy większym uświadomieniu, poparciu, wspólnej pomocy, naszym stanem posiadania w najbliższej, w bezpośredniej przyszłości. Na to trzeba czasu. Nasz rękodzielnik musi przygotować sobie eksponaty wystawowe w sezonie, dla niego martwym. Otóż dla jednych rzemiosł takim czasem jest lato, dla innych zima. To właśnie zostało powiedzianem na posiedzeniu wystawowem. Z tego je-

dnego względu wypada, że rok jest najmniejszym terminem do urządzenia wystawy, która by wytrzymała pewną próbę wartości, która by nie była zrobiona, jak mówi rzemieślnicze przysłowie nasze o tandecie: „sobotnim sztychem na niedzielny targ”.

Inny wzgląd:

— Najpośpieszniej zorganizowana wystawa może być gotowa na jesieni tego roku. Z tego już powodu musi ona być pomieszczona pod dachem. W przeciwnym razie, niepogody jesienne mogą bardzo zaszkodzić, a przytem krótki dzień jesienny zbyt mało by czasu dawał na dostateczne eksploataowanie. Pomieszczona zaś pod dachem, będzie wystawą z konieczności ograniczoną miejscem, a więc skromną rozmiarami. Takich wystaw dorywczych mieliśmy w ostatnich latach poddostatkiem. I jeżeli wystawa rękodzielnicza, do której przystępuje się z takim zapalem, ma mieć taki sam, mniej-więcej, poziom, zakres i doniosłość, jak nasze wystawy sportowe, filantropijne, jarmarki rękodzielnicze i t. p., to w rezultacie jej może zbyt łatwo wypaść: wykosztowanie się naszego rękodzielnika bez żadnej za to dlań rekompensaty i zniechęcenie go do poważnego i na wielką skalę zakrojonego przedsięwzięcia wystawowego, którego nasza wytwórczość bardzo już potrzebuje.

W ten sposób przeszliśmy do drugiego zarzutu p. Bleszyńskiego:

— Taka wystawa więc może wyczerpać i zniechęcić naszego rękodzielnika. Może poderwać sprawę wielkiej wystawy, która znajduje się na porządku dziennym naszego życia ekonomicznego, a która już miała być w roku 1915 wcielona w czyn. Ponieważ jednak ten termin, z historycznych względów, nie przedstawia dogodnej daty, przeto myśleliśmy o roku następnym, o 1916. Przed dwoma laty sprawa ta była poważnie rozbiegana w małym kole, do którego należał prezes Towarzystwa Przemysłowców, dyrektor tegoż Towarzystwa, prezes Centralnego Towarzystwa Rolniczego, wiceprezes Stowarzyszenia Kupców i dyrektor Wystawy Ruchomej, i doszliśmy do przekonania, że wystawa przysła winna mieć poważne dydaktyczne znaczenie i że winna ona coś po sobie zostawić krajowi, np. muzeum przemysłowe, będące stałym obrazem, ciągłą informacją o produkcji kraju naszego. Przytem myśleliśmy o zwróceniu przy tej sposobności uwagi świata turystycznego na nasze miasto, jako na punkt zetknięcia się interesów ekonomicznych Zachodu ze Wschodem. Warszawa rozwinęła już w dostateczny sposób to wszystko niemal, czego turysta dzisiejszy potrzebuje, jako wygodę i jako interes kulturalny. — przy sposobności więc wielkiej wystawy, zrecznie zareklamowanej, na nasze miasto można będzie zwrócić uwagę różnych sfer zagranicznych, co byłoby prelu-

dyum do zainteresowania się wytwórczością i ekonomicznymi stosunkami naszymi wogóle francuzów, angiolków, holendrów, szwajcarów i t. d., a więc byłoby i próbą wyzwolenia się z kosztownej, ciężkiej i niemiłej opieki niemieckiej.

P. Bleszyński studia nad tą przyszłą wielką wystawą naszą posunął tak daleko, że obejrzał wszystkie miejscowości, jakie by mogły się nadawać na plac wystawy — i jedną tylko taką znalazł. To place za Wisłą, naprzeciwko parku Skaryszewskiego leżące. Podajemy tu, jako dokument, zaprojektowany plac wystawowy przez p. Bleszyńskiego. Na tym placu projektodawca, wraz z architektem, p. Portnerem, zrobił szczegółowy projekt rozkładu ubikacji wystawowych, które ciekawy czytelnik znajdzie w „Przemysle Krajowym” z 1911 roku.

— W roku 1916 most trzeci na Wiśle będzie już w pełni swej użyteczności. Wtedy place, o których mówię, nie będą tak dzikimi i nieprzystępnymi, jak dziś. Wystawa wielka znajdzie tu miejsce bardzo dogodne pod każdym względem.

Czy rzemieślnik nasz postąpił od roku 1905? Mniemam, że od tego czasu pod względem zawodowym cofnął się on raczej. Zużył on zbyt wiele sił na rewindykację zarobkowego charakteru i swe ambicje puścił w innym zgoła kierunku, a nie w fachowym.

— Być może, iż w roku 1913 jest pod tym względem lepiej nieco, aniżeli w roku 1906, 1907 i 1908, w których chęć wykonania jakiegoś przedmiotu zreczną ręką naszego rzemieślnika w doskonały sposób była najmniejszą z jego trosk: jeżeli jest jednak postęp w tym kierunku, to zapewne niezbyt duży. Należałoby to zbadać, zanim się powoła rękodzielnika naszego do popisu, na którym może tylko fakt smutny upadku rzemiosł naszych będzie najważniejszą do skonstatowania rzeczą.



Józef Bleszyński.



Jan Rudnicki.

Głos za wystawą,

p. Jana Rudnickiego, rękodzielnika, prezesa Sekcji Rzemieśln., członka Komitetu Wykonawczego Wystawy Rękodzielniczej w r. 1913-ym.

P. Jan Rudnicki uważa wystawę rękodzielniczą, zorganizowaną w najkrótszym możliwie czasie, za

niezbędną, a przynajmniej za obiecującą wielkie korzyści naszym rękodzielnikom.

Odda im ona niezawodnie nieocenione usługi, — i moralne, i materialne...

— I moralne? — zdziwiłem się.

— Z pewnością, panie, — odrzekł p. Rudnicki. — Dziś człowiek, który jest rzemieślnikiem, wstydi się tego. Nikt już prawie z majstrów nie nazywa siebie rzemieślnikiem, z wyjątkiem rzadkich ludzi, trzymających się tradycji, bądź co bądź szanownej. Znajdzie pan obecnie tylko *przemysłowców, fabrykantów, przedsiębiorców*. Dobra i udana wystawa, która by społeczeństwu naszemu przypomniała całą użyteczność i godność rzemieślnika polskiego, wyrzucić może ten wpływ na szerszy ogół naszych rękodzielników, iż obudzi w nich dawne zawodowe, korporacyjne, solidarne i artystyczne ambicje i uczucia rękodzielnicze. A przecież ileż treści pięknej jest w nazwie rękodzielnika, podczas, gdy w nazwie przedsiębiorcy albo fabrykanta nic innego niema, oprócz chęci zarabiania pieniędzy.

— Czy nie dlatego tak jest, że nasze rzemiosła weszły w fazę fabrycznej ewolucji i że maszyna stała się dziś wszechwładną?

— Otóż właśnie tak nie jest, — odparł energicznie i z przekonaniem p. Rudnicki. — Mogło się to zdawać przed dziesięciu laty. Ale wraz z podniesieniem się w krajach cywilizowanych zamożności smaku, artystycznego wykształcenia, zwrócono honor dawnym rękodzielnikom. Wprawdzie i ci muszą sobie pomagać maszynami w robotach grubszych, a rozwój elektryczności dostarcza właśnie siły motorowej najdrobniejszym rękodzielnikom, zaprzeczając przepowiedniom niedawnym o centralizowaniu się całej wytwórczości w ogromnych fabrykach, opartych na olbrzymich kapitałach. Wielkie fabryki nie mogą zastąpić rękodzielnika. Wielka fabryka produkuje tysiące przedmiotów ściśle jednakowych. Takie przedmioty są wstrętne każdemu oświeconszemu i zamożniejszemu człowiekowi, który nie chce, aby jego dom, jego ognisko rodzinne przypominało koszary, albo naśladowało hotel. Popyt na przedmioty, noszące na sobie oryginalną cechę i o ile można artystyczną, rośnie bardzo. Meblarstwo, krawiectwo, szewctwo, że tylko panu te najpierw przychodzące na myśl rzemiosła wymienię, nie zostały bynajmniej pochłonięte przez fabryczną produkcję. Rękodzielnik ma przyszłość. Nawet już terażniejszość do niego w niemałej mierze należy. Tylko wymagania od rękodzielnika wzrosły. Musi on być dziś w jakiejś mierze wynalazcą, unikającym szablonów tandetnych, a także artystą, mającym gust wyrobiony.

— A czy my mamy takich rękodzielników w większej ilości?

— To nam właśnie wystawa na-

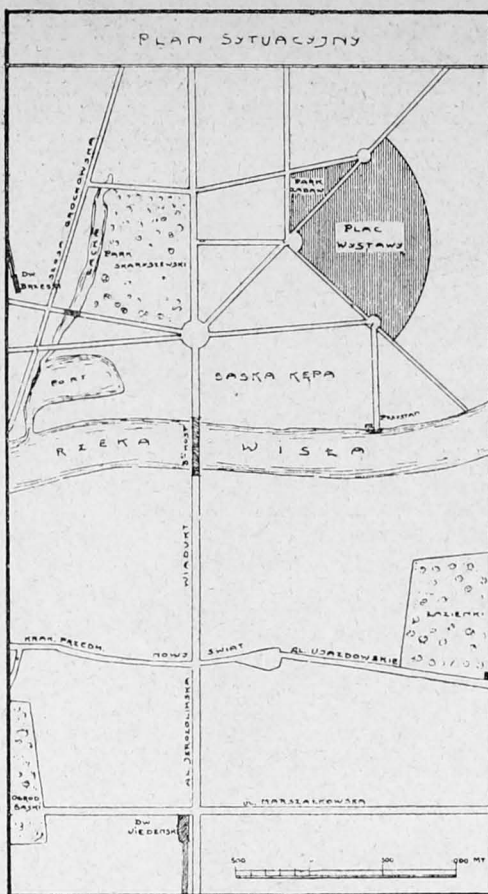
sza powie. Nie ulega wątpliwości, że tacy rzemieślnicy są ukryci w warsztatach, produkując rzeczy wartościowe, wyzyskiwani przez hurtowników, którzy całą ich produkcję zakupują i sprzedają ją nieraz, jako zagraniczne wyroby... To fakt, kilkakrotnie stwierdzony... Takich dzielnych rękodzielników należy wyłowić przy pomocy wystawy, dać ich poznać szerszemu światu, połączyć ze sobą. Powstały w ostatnich latach, pod wpływem nowych potrzeb życia, nowe gałęzie rękodzielnicze, zwłaszcza w dziedzinie techniki elektrycznej. O tym dobrze się nie wie. Nowi ci rękodzielnicy zanadto są pogrążeni w pracy, w codziennej walce o byt, aby mieli czas i energię dać się poznać szerszym sferom, od których by przecież poparcia i pomocy doznać mogli. Dla przykładu, wskażę tak dziś znaną firmę, jak bracia Lopińscy, którzy właśnie, dzięki wystawom, dali się poznać światu. Kto wie, ilu podobnych pracowników wyrabia się w codziennym naszym życiu, nie mogąc, dla braku okazji, wysunąć się na widownię. Nie mają oni na reklamę, nie mają na własne sklepy z szybą wystawową. Tym należy dać miejsce na widoku.

— Jak pan zapatruje się na projektowany termin wystawy?

— Chwila nie jest źle wybraną. W wytwórczości naszej panuje niemałe ożywienie. Wskażę na fakty, o tem dające wymowne świadectwo, jak: niedawny zjazd szewców, jak tworzenie się kooperatyw do zakupu surowych materiałów, czyli hurtowni surowcowych, jak powstawanie kas pożyczkowo-oszczędnościowych zawodowych. Z drugiej strony, nasze szkolnictwo rękodzielnicze porobiło już niezawodne postępy. Kursy ślusarskie, prowadzone przez p. Mencla, kursy ciesielskie, malarskie, mularskie, stolarskie przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa, kursy graficzne przy Muzeum Sztuki Stosowanej, — niezawodnie, podniosły w pewnej mierze rzemiosła nasze i wydały owoce. To wystawa właśnie może skontrolować, sprawdzić, ocenić.

P. Rudnicki na jedną jeszcze okoliczność ważną a zbyt często pomijaną zwraca uwagę:

— Należy jeszcze pamiętać, że nigdy żadna wystawa nie była prostym egzaminem, zwyczajnym wstawianiem lekcji, które się umie, ale że była zawsze i *aktem twórczym*. Na wystawę wytwórcy specjalnie przygotowywali się w skupieniu i nie szczedząc ofiar. Pod naciskiem wystawy zdolności się pogłębiały, ambicje się rozrastały, tryskały z tajemniczych źródeł dusz ludzkich nowe pomysły, nowe wynalazki, nowe ulepszenia, nowe ozdoby. Po wystawie wytwórczość kraju okazywała się znacznie dzielniejszą, aniżeli przed wystawą, a tej dzielności jej przybywało właśnie dzięki wystawie. Już z samego kolektywnego a harmonijnego działania w pewnym okre-



Plan Wielkiej Wystawy w roku 1916.

ślonym kierunku i celu wynika postęp dzielności na polach wytwórczych. Przytem wystawa jest miejscem nauki i środkiem zachęty; i rzemieślnik zaniedbany bowiem widzi tu wzór, czem mógłby być przy większej nieco energii, a rzemieślnik staranny przekonywa się, że warto jest pracować pomysłowo i z zapalem. Mamy zamiar przeto wziąć się do pracy z całą energią i ochoczością, pewni, że sam impet wielu pociągnie, wielu natchnie, wielu ożywi.

— Czy taka wystawa rękodzielnicza nie przeszkodzi projektowanej i omawianej już od szeregu lat wielkiej wystawie ogólnej przemysłowej?



Teren wznowionej wojny na Bałkanach.

— O to żadnej obawy nie mam. Przeciwnie, myślę, że taka wystawa przygotuje tem lepiej to wielkie przedsięwzięcie, o którym się już tyle mówiło. Zorganizuje ona ściślej ten świat, który najbardziej jest rozproszony, który niebardzo rozumie jeszcze pożytek wystaw i który na udział w nich nie ma ochoty poświęcać pieniędzy, czasu i pracy, nie wierząc, aby mu to korzyści przyniosło. Wielki przemysł na wielkiej wystawie sam stanie do apelu, uświadomiony, sprawny, zręczny. Przemysł drobny należy przeprowadzić przez pewną szkołę przygotowawczą, i taką szkołą będzie dlań nasza wystawa.

Tak brzmią dwa głosy, niewątpliwie kompetentne. Mniemamy, że przyczynią się one do oświelenia sprawy, która zainteresowała w bardzo żywym stopniu cały ogół polski.

Demil.

Wojna na Bałkanach.

Zawieszono przez dwa miesiące działania wojenne na półwyspie Bałkańskim wznowiły się 3 lutego i ześrodkowały obecnie na terytorium wschodniej Tracji, czyli wilajetu adryanopolskiego, pomiędzy Adrianopolem a morzem Marmara. Od wybuchu wojny bałkańskiej w dniu 19 października aż do 2 grudnia, gdy pod Czataldżą zawarto tymczasowy rozejm, państwa sprzymierzone zdobyły cały półwysep Bałkański, wyłączając tylko trzy obleżone miasta: Skutari, Janinę i Adrianopol. W trakcie rozejmu odbywały się pertraktacje pokojowe w Londynie, przyczem turcy zgodzili się na odstąpienie związkowcom Skutari i Janiny, tudzież wszystkich ziem od Adryatyku aż do Adrianopola. Nie chcieli jednak oddać bułgarom tego ostatniego miasta, zwanego drugą stolicą Turcji, chociaż bułgarowie stali mocną stopą pod samą Czataldżą, o 35 wiorst od Konstantynopola, a całą wschodnią Tracię, od rzeki Maricy aż do granicy



Szukri-pasza,
obronca Adryanopola.



Hassan Riza-bey,
obronca Skutari.



Vehib-bey,
obronca Janiny.



Izzet-pasza,
główny wódz armii tureckiej.

wilajetu konstantynopolańskiego (między Silivri a Malatrą) pozostawała już pod faktycznym zarządem władz bułgarskich, wojskowych i cywilnych.

Gdy wkońcu rząd Kiamila-baszy, widząc trudność sytuacji, godził się na oddanie bułgarom Adryanopola, młodoturcy dokonali zamachu stanu: objęli władzę. W nocy do wielkich państw nowy rząd turecki zaproponował oddanie bułgarom zachodniej połowy miasta, zostawiając Turcyi drugą połowę z meczetami. Takie rozstrzygnięcie sprawy było zbyt nielogiczne, żeby bułgarowie zgodzili się na to. Im chodziło o całą Trację, a przynajmniej do linii pogranicznej, która by się ciągnęła od Midii do zatoki Saros.

Wznowienie wojny, które nastąpiło po wypowiedzeniu rozejmu przez Bułgarię, zastało warunki na terenie wojny znacznie zmienione. Mianowicie, przez dwa miesiące Turcyja zdołała cokolwiek wzmocnić swoje stanowisko na fortach Czataldży (pomiędzy Bujuk-Czekmedzie a jeziorem Derkos); nadto zgromadziła ona pewne rezerwy wojsk na brzegu azjatyckim w Izmidzie i wreszcie obsadziła znacznie większą ilością wojsk półwysep Galipoli. Tym sposobem Turcyja posiadała na fortach Czataldży 150 tys. żołnierzy, na półwyspie Galipoli 50 tys. i w Izmidzie 45 tys. rezerw. Ażeby bronić Konstantynopola, postanowiła bronić całego wybrzeża morza Marmara, od Dardanelów do Bosforu.

Ten plan obrony tureckiej wpłynął na zmianę rozkładu wojsk bułgarskich w Tracji wschodniej. Mianowicie, bułgarowie, którzy pierwotnie całą masę wojsk swoich (7 dywizji piechoty i dywizja kawalerii) przysunęli do samych niemal fortów Czataldży, odsunęli ją teraz pod Czerkieską, czem zmusiliby Turków do przyjęcia walnej bitwy na polu, ale nie na fortach. Następnie bułgarowie, którzy trzymali dwie dywizje w okolicach Dimotiki, posunęli je na południe do Malgary. Jedna dywizja bułgarska stała w okolicach Rodosto nad brzegiem morza Marmara; tę dywizję wprowadzono w kontakt z dywizjami pod Czerkieską i pod Malgarą, aby uniemożliwić Turkom przerwanie albo obejście linii bułgarskiej, ciągnącej się od Czerkieskiej aż do Malgary.

Po wznowieniu wojny Turcy usiłowali wciągnąć w bitwę wojska bułgarskie pod Czataldżą, aby je tam zatrzymać; jednocześnie zaś armia turecka z Galipoli miała zamiar wykonać ruch zaczepny na północ, aby zbliżyć się do Adryanopola. Gdyby załoga Adryanopola trzymała się dłużej, mogliby Turcy, idąc z Galipoli i wsparci przez wojska azjatyckie, ładujące pod Rodosto, pomyśleć o daniu odsieczy Adryanopolowi.

Jednakże plan ten bułgarzy przewidzieli i dwie ich dywizje na samym początku wznowionej wojny uderzyły w kierunku miasta Kowak i portu Sarkoj, odpychając przednie oddziały armii gali-

polskiej aż pod Bulair. Dzięki temu, wyładowanie tureckich wojsk pomocniczych pod Rodosto zostało utrudnione, a marsz koncentryczny Turków ku Adryanopolowi od Galipoli, od Czataldży i od Rodosto jest, oczywiście, nielaty do wykonania. Żeby tego marszu dokonać, musieliby Turcy pobić na głowę 8 dywizji, czyli cztery korpusy bułgarskie (150 tys. ludzi) pod Czerkieską, jeden korpus bułgarski pod Malgarą (40 tys.) i rozbić środkową dywizję (15 tys. ludzi) w okolicach Rodosto. Przedewszystkiem zaś musieliby Turcy uchwycić w swe ręce inicjatywę, która dotąd pozostaje niepodzielnie w ręku sprężystych wodzów bułgarskich.

Celem bułgarów jest obecnie zdobycie mocno ufortyfikowanego Adryanopola, otoczonego przez 8 potężnych fortów nowoczesnych z pancernymi wieżami dla dział. Forty te, znajdujące się w odległości 4 — 6 wiorst od miasta, mogą być zburzone jedynie przez bardzo silne działa oblężnicze, poczem dopiero możliwym staje się atak piechoty na te fortyny albo wdarcie się pomiędzy fortami do miasta. Adryanopol został obłożony przez trzy dywizje rezerwowe bułgarskie i przez korpus wojsk serbskich, razem około 80 tys. ludzi. W samym Adryanopolu znajdowało się od początku wojny 40 tys. wojsk tureckich i 130 tys. mieszkańców. Położenie załogi i ludności podczas trzymiesięcznego oblężenia pogorszyło się znacznie, zaś bombardowanie z ciężkich dział w ostatnich dniach wyrządziło miastu wielkie szkody. Długotrwała obrona Turków tłómaczy się dobrym stanem fortów i zapasami żywności. Po zdobyciu Adryanopola bułgarom łatwiej przyjdzie operować przeciwko Turkom pod Czataldżą i na Galipoli.

O ileby bułgarom udało się zdobyć

półwysep Galipoli i zmusić do milczenia forty dardanelskie, wówczas flota grecka wpłynęłaby na morze Marmara i ułatwiłaby bułgarom szturm Czataldży oraz zdobycie Konstantynopola, które nie może przyjść tak łatwo, jak z początku dzono.

Na całym dawnym terytorium Turcyi Europejskiej związkowcom pozostaje



Ks. Hohenlohe, który jeździł z ramienia Cesarza Franc. Józefa do Petersburga w sekretnej misji dyplomatycznej. Losy tej misji wssakże traktowane są sceptycznie.

jeszcze tylko do zdobycia Skutari, oblegane teraz przez czarnogórców i przez Serbów, którzy przypuszczili energiczny atak do tego miasta. Grecy oblegają w Epirze ostatnią placówkę wojsk tureckich w Janinie, której kapitulacja niedługo także na siebie czekać.

Losy wojny jednak naprawdę rozstrzygają się teraz w Tracji, w trójkącie Adryanopol-Czataldża-Galipoli.

Podchorąży.

Z teatru poznańskiego.

Młody, utalentowany redaktor *Museionu*, wytworny tłómacz poetów greckich i łacińskich, autor w zeszłym roku w Krakowie wystawionych „Lilii” — Ludwik Hieronim *Morstin*, którego premierę p. t. „Szlakiem legionów” ujrzeliśmy właśnie w Poznaniu.



Fot. J. Stolski, Poznań.

„Szlakiem legionów” J. Morstina.



Fot. J. Stolski, Poznań.

„Szlakiem legionów”. Powitanie Dąbrowskiego.

jest wyjątkowym autorem, który sztukę swą najpierw u nas wystawił. Jest to dzieło sztuki poważne i wartościowe.

Szlakiem legionów podąża Morstin w swym dramacie. Ustrzegł się autor tego, żeby nam dawać udratyzowaną historię legionów. Choć o nastrój w narodzie, który po upadku odradzał się w zmaganiu okrutnym ze samym sobą. Stare, spłowiałe strzępy świetności republikańsko-szlacheckiej i nowe prądy demokratyczne, wspomnienia smutne lub pełne chwały, echa hulanki „pod Blachą” i budzącego się ducha czynu na odgłos nazwiska: Bonaparte — oto, co nam autor daje w swej sztuce. Żaden bodaj okres w dziejach Polski nie jest tak dziwny, tak trudny do uchwycenia, tak pełen sprzeczności. Szlachta wtedy składa hołdy wiernopoddańcze nowym monarchom, Warszawa pod panowaniem pruskim rozbrzmiewa hucznymi balami, w niejednym zakątku szlachcic nie wiedział wcale, że się coś zmieniło, aż dopiero... A jednak tam, gdzieś w głębi, pod powłoką obojętności i fatalistycznego poddania się losom, gorzał płomień, co wybuchnąć miał na hasło, z zachodu dane, w zdobywczej, zwycięskiej pieśni.

Jedno ginęło, drugie na ruinach powstawało do nowego życia. Tę przemianę uwypukla Morstin w sztuce swjej niezwykle plastycznie. Z jednej strony stare typy szlachty sejmikującej, zasklepionej w ciasnej, konserwatywnej swojszczyźnie rowiatowej, z drugiej nowe pokolenie demokratyczne, narodowe, bitne, żądne czynu, któremu przewodzi stary latami, ale młody sercem eksposeł z Sejmu czteroletniego, p. Damazy, „jakobin”, „szatan w kółtająwskiej masce”, który z zapalem młodzieńczym, z wiarą wzruszającą w gwiazdę Bonapartego, z demokratycznym wyznaniem wyzwolenia ludu na ustach, wysyła młodszą brać w dalekie kraje, w szeregi. Jeden tylko z pośród młodych stoi na uboczu, to starość Szczęsny, na którego rodzicu

ciąży — Targowica. Młodzież patryotyczna stroni od tego „arystokraty”, a on za dumny jest, aby otwarciem szczerem szlachetnej swej duszy szukać jej przyjaźni. Zresztą on, sceptyk, artysta, marzyciel, nie wierzy w powodzenie nienewnych walk w obcej służbie. A prztem przykuwa go do ziemi ojczyźniej miłość gorąca do Heleny, córki podkomorzego. I Helena kocha pięknego starościca, ale jej marzą się czyny bohaterskie: tylko wawrzynem okryty zwycięzca ma zdobyć jej sentymentalne serduzko. Więc gdy Szczęsny w miłosnym zachwycie nie słucha jej wzwania, rzuca mu Helena w twarz słowa piekące o ojcu jego, o Targowicy. Wzdryga się na to Szczęsny, do żywego dotknięty, dumą jego wspina się, jak koń szlachetny, ubodzony ostrogą. Nie prosi, nie błaga; odjeżdża milezący i przez sam upór, przez rozpacz tłumioną w sercu pójdzie tam, dokąd poszli inni, bo okazać, że nie brak odwagi potomkowi starego rodu.

W ten sposób z dramatem dziejowym łączy się dramat serc kochających. Ale ten dramat osobisty daje bohatera. Szczęsny walczy, jak straceniec, i wraca z zwyciężkami legionami. Spotyka raz jeszcze Helenę, która, widząc, jaką krzywdę mu niegdyś wyrządziła, rzuca mu się do nóg i chce iść za nim, mimo, że już jest żoną innego. Ale Szczęsny już cały służbie dla ojczyzny się poświęcił, serce jego słucha „wyższej rangi” i, jako żołnierz, chce wytrwać na posterunku.

Ten powrót zwycięzki ze Szczęsnym, wyszlachetnionym przez cierpienie, stanowi podniosły, końcowy akord sztuki Morstina. Wszyscy, z Damazym na czele, witają z uniesieniem rycerzy. Tylko jeden podkomorzy zamroczony w smutku. On, który zgóry był przeciwny tym walkom awanturniczym, stracił w nich syna jedyne. Więc niemy pozostaje wśród ogólnej radości. A jednak, gdy chwają okryty bohater staje w cichym dwornego, dźwiga się starzec,

powstaje i, uniesiony odruchem wewnętrznym, do nóg się chyli bohatera.

Tym, niezwykle zręcznym, aktem hołdu dla legionów ze strony największego przeciwnika, kończy się sztuka Morstina.

Idea bohaterstwa, idea odrodzenia z unadku moralnego i politycznego przez ofiarę krwi, przez czyn śmiały, wielki, awanturniczo-piękny, wyzwalaający — oto myśl przewodnia dramatu Morstina, przeprowadzona z umiejętnością i z siłą przekonywającą.

Dyrekcya teatru poznańskiego wystawiła „Szlakiem legionów” z dużym nakładem sił i środków, zapewniając sztuce sukces tem bardziej trwały. Reżyserował ją w sposób wytrawny jeden z najlepszych artystów sceny naszej, p. Kindler, który równocześnie wystąpił w roli Szczęsnego z zupełnym powodzeniem. Reszta artystów wwiązała się z zadania swego również bardzo dobrze.

Poznań.



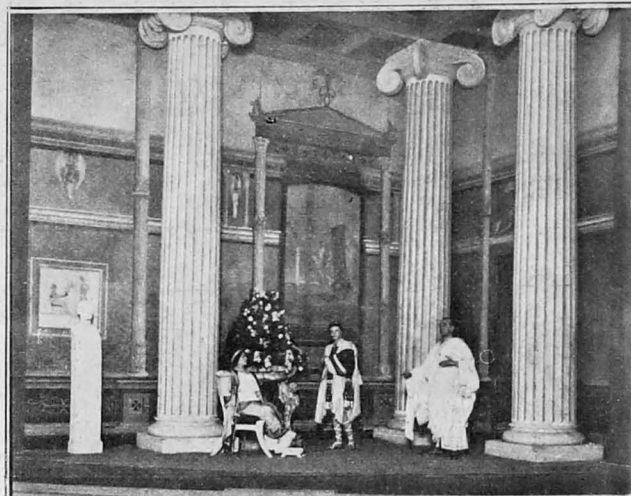
Janina Adamówna. Józefa Pieńkowska.

W teatrze poznańskim dwa talenty żeńskie budzą powszechne zainteresowanie, zarówno wśród publiczności, jak i krytyki. P. Józefa Pieńkowska, młoda artystka, zaangażowana poraz pierwszy w sezonie bieżącym, zadziwia różnorodnością talentu, szczerością gry, nacechowanej pierwiastkami istotnego artyzmu, nareszcie warunkami zewnętrznymi. Wśród wielu ról, jakeimi obiecująca artystka zdobyła sobie powszechne uznanie, wyróżniają się: Krasawica w Wyspiańskiego „Bolesławie Śmiałym”, odtworzona, stosownie do intencji autora, z żywiołową siłą; Laura w „Cyganeryi Warszawskiej” Nowaczyńskiego; pani Wilten w Ibsenowskim „Borkmanie”, Maia w tegoż

„Irydyon” na scenie teatru Polskiego w Warszawie.



Scena obrazu I-go.



Scena obrazu III-go.

Fot. Wł. Szyblewskiego.

„Gdy się zbudzimy wśród zmarłych” i nareszcie tytułowa rola z „Królowej Jadwigi” Józefa Szujskiego.

Jako wybitny talent w kierunku dramatycznym, wyróżniła się zaszczytnie młoda artystka, uczennica warsz. szkoły dramatycznej, p. Janina Adamówna z Cieclocinka, zwłaszcza wyborańską grą w trudnej roli Młynarki z dramatu Rydla „Zaczarowane koło”, łącząc się z artystycznym umiarkowaniem, zwłaszcza w dramatycznej scenie obłąkania z IV aktu.

Poznań.

n.

Inscenizacja „Irydiona” w teatrze Polskim w Warszawie.

Projekcja sceniczna filozoficznego poematu należy do najtrudniejszych zagadnień współczesnego teatru. „Irydion” Z. Krasińskiego podziela losy sceniczne „Fausta” Goethego, który stał się w Niemczech uświęconym kamieniem probierczym do rozwiązywania problemów „teatralnej sztuki”. Wszystkie naukowe, filologiczne i rozbieżno-kierunkowe artystyczne metody inscenizacji „Fausta” udawały się w części tylko, nie obejmując nigdy zwięźle w jednym duchu obmyślanej całości. Dziesiątki artystów, filologów i muzyków, wzięwszy się za reżyserskie, nie zdołały objąć pnia rozłożystego dębu myśli i uczuć Fausta Goethego.

P. Karol Frycz, któremu powierzono opracowanie szaty scenicznej *tragedyi ducha* syna Amfilocha, wyszedł z założenia, wypowiedzianego w komentarzach biografów poety, i opracował poemat w duchu neoklasyka Krasińskiego, dokładnie obeznanego z życiem starożytnej Hellady i Romy. P. Frycz uznał za stosowne wyraźnie wypowiedzieć barokizującą w kostiumach stylizację, która miałaby oznaczać stosunek współczesnego poety do Rzymu, znanego Krasińskiemu, w którym „quod non fecerant barbari, fecerint Barberini”.

I z „Irydionem” Frycza stało się to, co z „Legionem” Solskiego. Nie dano nam wizerunku dramatycznej, lecz szereg scen deklamacyjnych na tle mniej-więcej wiernie historycznego otoczenia. Inscenizacją Nowego Teatru Polskiego nie rozwiązano definitywnie artystycznego problemu teatralnego „Irydiona”.

Karol Frycz należy do tych nielicznych w Polsce artystów, których polem działania jest *wnętrze architektoniczne*.

Wszystkie zalety wykwińskiego smaku, doboru barw i kształtów przedmiotów plastycznych i tekstylnych, umiejętny podział płaszczyzn i wybór materiału występują na jaw w obrazach scenicznych Karola Frycza. Doświadczenie w kierunku artystycznego zdobienia wnętrza i malarskiego przystrajania łączących się z dekoracją figurową góruje nad pracą inscenizatora teatralnego.

Sala Heliogabala, czy perystyl pałacu Mammei uchyla się z pod praw teatralnej perspektywy i staje się materyalnem wnętrzem mieszkalnem. Architektonikę kolumnad i sal pałacowych *buduje* Frycz *statycznie*, gotów zawiesić na korynckich plastycznych głowicach beczkowe sklepienie lub mniej znaną w Rzymie starożytnym kopułę.

Dekorację buduje ściśle na założeniu prostokąta, kwadratu, urabiając plastyczne wnętrza, urządzone według wszelkich praw logiki architektonicznej, zdobione z umiarem wysokiej kultury artystycznej. Wskutek tak surowego traktowania architektury, wnętrza pałaców Cezarów stają się mieszkalnemi, a jako obrazy sceniczne, oglądane z widowni, w powiększeniu światła ramp przerażają swym ogromem, prostokątnem załamaniem i kryciem się wzajemnem kolumn, posągów i pilastrów.

Kompozycje wewnątrz architektonicznych „Irydiona” Frycza zachowywały utajoną symfoniczną wartość architektonicznych stosunków. W chwili jednak teatralnego naświetlenia oglądane, jako perspektywiczne przecięcia, stały się akademickimi szematycznymi ramami poetyckiej wizji Krasińskiego.

Ściśle realistyczne ujęcie poematu oddało malarzowi ster scenicznych losów „Irydiona”. Stworzenie 14-u obrazów z życia starożytnego Rzymu, zapadającego się w groźnym majestacie pod kilofem podziemnych mocarskich idei katakumb, żywość i barwność przesuwiających się precyzyjnych malarskich tematów, przyoblekały ducha Irydiona i Elsinoe w ziemskie postaci i podbudowały nowymi falami wznuszeń estetycznych, płynących z dziedziny sztuk plastycznych, do ożywienia uwagi zmęczonego słuchacza i widza.

Pod względem malarskim najpiękniej działały sceny w katakumbach, trakto-

wane fragmentarycznie. W tym obrazie była rzadko spotykana na scenach naszych spójność kostymów z dekoracją. Należy się jednak reżyserowi uwaga, iż niepotrzebnie skłębził statystów w absydzie kaplicy, nie wyszukując zasuniętej kotarą powierzchni ściany, zastępującej tło części obrazu, który nabrałby w ten sposób charakteru freskowego fryzu z czasów pierwszego chrześcijaństwa.

Niewłaściwym w tej scenie był kształt rekwizytów, krzyża i kielicha ofiarnej z nakryciem, w nieznannej w liturgii tej epoki formie dzisiejszej.

Dekoracje, malowane przez doświadczonego teatralnego artystę, p. Stanisława Drabikę, zwłaszcza zaprojektowany przez tegoż widok na kampanię z „via Appia”, wykonane były wzorowo, z wyjątkiem... dwu szablonowych robót firmy Kautsky'ego z Berlina, której widok „Colosseum” przypomina najgorsze czasy dekoracyjnego malarstwa, a widok transparentowy Rzymu usunięty być musiał po premierze. Sztukatorskie prace i odlew p. Kamińskiego budziły podziw i uznanie wszystkich. Kostuimy wykonano wiernie w pracowni p. Nazarewicza i Szafrańskiego. Efekty i nastroje świetne, mimo bogatego uposażenia sceny Teatru Polskiego, z powodu nielicznych prób, należą jeszcze do muzyki przyszłości. Rzeczy widziane były wartości przeciętnej. Iskrzące się przepychem assyryjskim stroje Heliogabala, kapłanów i orszaku cesarowego, należą do najefektowniejszych, jakie oglądaliśmy na scenie polskiej. W greckich i rzymskich strojach nie odtworzył pomysły artysta epoki cesarom współczesnej, lecz zaznaczył doborem barw i rysunkiem ornamentyki świeży i nowy ich charakter, utrzymany w całości, w barokizującym, ulubionym przez Frycza, tonie. Opracowanie malarskie najdrobniejszych szczegółów strojów, różnorodność harmonijnie łączących się barw i pomysłów, indywidualnych artystycznie wzorów, wskazują, iż w Karolu Fryczu teatr nasz ma siłę artystyczną pierwszorzędą, której pozdrożyć mogłyby nam obce sceny. Warunki pracy miał artysta w Warszawie najgorsze, gdyż jest pierwszym artystą-malarzem, wstępującym na deski naszych teatrów, gdzie talent prawdziwego artysty staje się zwiastunem nowej ery, pracy nad nowym *artystycznym teatrem w Polsce*.

Maryan Diersl.

Sargia

KALODONT

Niezbędny **KREM i ELIKSIR** do **ZĘBÓW**
Utrzymuje zęby białe, czyste i zdrowo.

żądać wszędzie



WODA MINERALNA
DOSKONAŁA DLA CIERPIĄCYCH
NA PODAGRĘ i ARTRETYZM
UŁATWIA PRYSWAJANIE
TŁUSZCZÓW i
PRZEMIANĘ
MATERYI

MŁODZIEŃC

bez środków pragnąłby gorąco odbyć trzy-
letnie studia przemysłowe—prosi o podanie
ręki pomocnej. Dla okazania wdzięczności
przekazuje na cel publiczny, przez Obywatela-
Wspomoźciela wymieniony, swą polisę
abezpieczeniową, jedyną rzecz, jaką posiada.
Adres: Okazielowi legitymacji 17621,
„Świat“, Kraków, Bonerowska № 12.

KRAJOWA FABR. WYROBÓW TYTUNIOWYCH

Braci Polakiewicz

w Warszawie. Egz. od r. 1862

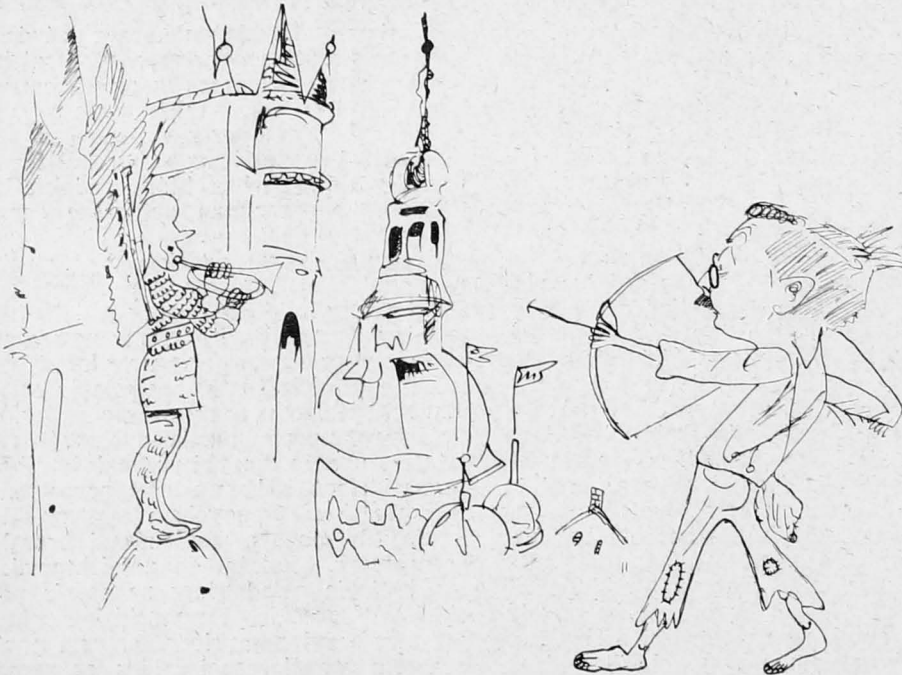
6293 Poleca PAPIEROSY

„Derby” . . . 10 szt. 10 kop.
„№ I” i „№ II” 10 „ 6 „
„Wiwat” . . . 10 „ 6 „



Dobrze płacę, a tanio sprzedaję. Nabywam kwity lombardowe, bry-
lanty, perły oraz inne drogocenne przedmioty, płacąc najlepiej. Odstępuję
je z małym zyskiem, sprzedaję też tanio nową biżuterię i zegarki renom-
owanych fabryk. Wybór ogromny poleca **A. Duszke**, Marszałkowska 102.
egzystujący od 1887 r. Magazyn Jubilerski Tel. 105-39.

Przed nową premierą w teatrze Polskim.



Z teki karykatur Z. Nyrnsteina.

Atak Nowaczyńskiego do „Nowych Aten”.

Humor i Satyra.

Międzynarodowiec.

Ledwie zaczął mówić „papu”,
Jeżdżąc jeszcze w wózku,
Miał szwajcarkę bonę, z którą
Mówił po francusku.

Gdy po latach już cokolwiek
Podrosło to dziecko,
Hartowano jego ciało
Gimnastyką szwedzką.

Na angielskim jeździł koniu,
Jak figurka z wosku,

Fechtował się po niemiecku
I śpiewał po włosku.

Gdy wziął spadek, pochowawszy
Kochanego tatę,
Na tureckiej siadał sofie,
Pił chińską herbatę.

Lub w japońskim gabinecie
Siadłszy z swą jedyną,
Cenił hawańskie cygarety,
Pił węgierskie wino.

Często sobie za granicę
Wyjeżdżał potroszę,
Na sterlingi, marki, franki
Zmieniał swoje grosze.

A wróciwszy do ojczyzny
Po takiej wyprawie,

Po berlińskim „makadamie”
Wędruje w Warszawie.

Świeci mu gaz deauski,
Ma szlafrok turecki
I rozmawia z znajomymi
Przez telefon szwedzki.

W epoce aeroplanów.

W epoce aeroplanów
Jest to powszednim już chlebem,
Że ludzie wszelakich stanów
Szybować mogą pod niebem.
Może dziś, niby ptak chyży,
Wzlatywać ludzka gromada,
Lecz ciałem wznosząc się wyżej,
Dusza wciąż na dół opada.

Nauka ojcowska.

— Mój Józiu — rzekł tata surowo
do dziesięcioletniego synka. Dowiedzia-
łem się, że kłamiesz niekiedy. To nie-
ładnie. Trzeba zawsze mówić prawdę,
choćbyś miał za to cierpieć.

— Dobrze, tatusiu.

W tej chwili odzywa się dzwonek
w przedpokoju.

— Józiu, rzecze tata—ktoś dzwoni.
Skocz no i otwórz drzwi, a jeżeli to
kto do mnie, to powiedz, że mnie niema
w domu.

„Suum cuique”.

„Suum cuique” mówiono
W Rzymie tysiące lat temu,
Co wówczas znaczyło pono:
„Oddaj, co jego, każdemu”.
Czas jednak myśli wypacza,
Zanim się ludzie spostrzegą—
Więc dziś to zdanie oznacza:
„Każdemu wydrzej, co jego”.

Co się podoba.

Słyszałem kiedyś mądre zdanie
Od mędrca, nie od snoba:
„Mężczyźni mówią o kobietach:
To, co im się podoba.
Sprytniejsze jednak są kobiety,
Ta ziemskich sfer ozdoba,
Bo one robią z mężczyznami
To, co im się podoba”.

K—c.

Poezya na tronie.



Rozeszła się pogłoska, jakoby spór między
Rumunją a państwami bałkańskimi miał być
rozstrzygnięty przez konkurs poetycki mię-
dzy Carmen Sylwą a królem Nikitą.

Restauracja Hotelu Brühlowskiego
właściciel Jan Szepczyk 6984



W ubiegłym tygodniu, poczynając od 3 do 9 lutego, odbyły się w siedzibie Warsz. Tow. Ogrodn. kursy krótkoterminowe zawodowe dla przybyłych w liczbie kilkudziesięciu osób z różnych okolic całego kraju ogrodników wiejskich. Duża liczba referatów naukowych z tej gałęzi, wygłaszanych przez znakomitych specjalistów, wywarły wielkie wrażenie. Grupa nasza przedstawia słuchaczy kursów z prelegentami i prezesem W.T.O., p. E. Jankowskim, na czele.

Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

SPRAWY POLITYCZNE.

Horyzont polityczny nagle się zmienił. Pomiedzy Austrią a Rosją stosunki się polepszyły, pomiedzy Anglią a Niemcami zapanowała chęć porozumienia.

Sensacyję sprawiło oświadczenie Jagowa, że możliwym jest układ z Anglią co do budowy nowej floty na podstawie stosunku: 16 do 10.

Asquith myśli o ustąpieniu, ponieważ program swój wykonał. Następcą jego będzie Grey, Georg lub Churchill.

Trzech posłów: Czarliński, Sosiński i Nowicki zerwali solidarność Koła Polskiego w Berlinie przy głosowaniu o cłach na bydło i mięso. Smutne.

Bank niemiecki pożyczył Turcyi milion funtów na dalsze prowadzenie wojny.

W Gallipoli bułgarzy odnoszą ciągle zwycięstwa. Jednak turcy nie oddali ani Adryanopola, ani Skutari, ani Janiny.

Położenie Rumunii stało się niekorzystnym wskutek porozumiewania się mocarstw. Liczyła ona na rozdźwięk, chcąc upiec swoją pieczęć przy cudzym ogniu.

Nowy szczeł oręza niemieckiego dał się słyszeć donośnie w Królewcu. To cesarz Wilhelm miał mowę...

Z IZB PRAWODAWCZYCH.

Kobiety adwokatami w Rosyi nie będą prędko. Rada Państwa odrzuciła projekt, przyznający im praktykę, przyjęty przez Dumę.

Kasso oświadczył w Dumie, że pomoc rodziców w dziele wychowania szkolnego jest zbędna i że rodzice mają zaufanie do władz szkolnych.

Samorządowy projekt wejdzie wkrótce pod obrady plenum Rady Państwa. Nasi posłowie obawiają się, że lokatorzy zostaną pozbawieni prawa głosu.

Majątki majoratowe w Królestwie będzie wolno dzierżawić na 24 lata wszystkim, prócz kałmuków i żydów.

Październikowcy postanowili odrzu-

cić wszelkie ograniczenia kolonizacji niemieckiej na południu Rosyi. Niech żyją Niemcy...

REPRESYE.

W więzieniu celkowem, a nie w klasztorze, odsiadywać będą karę księża, skazani administracyjnie.

Redaktor „Kuryera Polskiego”, skazany na 3 miesiące więzienia za wydrukowanie nieścisle mowy Nakonecznego, zapłaci tylko 50 rb. kary. Decyzja senatu.

Dwóch uczniów wydalono ze szkoły w Poznaniu, ponieważ nie wstali, gdy nauczyciel wniósł „hoch!” cesarzowi niemieckiemu.

300 rb. kary płaci „Kuryer Poranny” za wiadomość o obchodzie 22 stycznia 63 r. w Krakowie i we Lwowie.

NAUKA I SZTUKA.

Doniosłego odkrycia dokonał prof. Ramsey: rozłożył wodór, najlżejszy z pierwiastków, na neon i argon. Przewrót w chemii.

Na cześć Vrchlickiego w Krakowie urządzono wspaniałą „akademię” z udziałem prof. Zdziechowskiego i Grabowskiego.

„Złoto”. Pod takim tytułem hr. Bohdan Ronikier napisał dramat, który wystawi w Petersburgu i zagranicą...

ROZNE.

Historyczne Baranowo, siedziba Leśczyńskich, zostało ocalone przed żydami węgierskimi dzięki energii ziemian galicyjskich.

Rosyjska Agencya Telegraficzna sieje obrzydliwe kłamstwa w depeszach z Galicyi. Pisma nasze protestują.

Konkurs na elementarz dla dzieci polskich pod zaborem pruskim ogłasza Tow. Czytelni Ludowej w Poznaniu. Nagroda 500 marek.

J. E. ks. Ruszkiewicza władze wyższe zatwierdziły na stanowisku administratora dyecezyi warszawskiej.

Na wychowanie dzieci Laskowskiego płyną obficie składki publiczne. Wydawca „Wsi i Dworu” dał rodzinie Laskowskiego czwartą część swego pisma.

Książę Monaco bawił cztery dni w Warszawie. Reporterzy nie dowiedzieli się jednak, czy mu się tu podobało...



F. JANKOWSKIEGO.



KONIAK „URUS”.

40 lecie pracy.



P. Hieronim Sieradzki obchodził w dniu 1 lutego b. r. 40-lecie pracy, w Warszawskim Banku Handlowym, a jednocześnie otrzymał nominację na prokurenta w tej instytucyi.

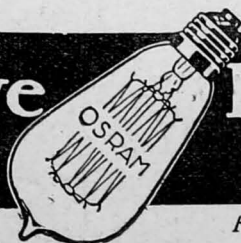
Z kroniki towarzyskiej.

W ostatnich dniach karnawału w kościele Pijarów ks. prałat Lasocki pobłogosławił związek małżeński pomiedzy p. Rełą Milińską i inżynierem Zygmuntem Lewandowskim

Polskie Biuro Ogłoszeń

założył Stanisław Poraj Koźmiński, znany dziennikarz, długoletni współpracownik kilku pism warszawskich i t. d. Biuro mieści się przy ul. Widok 3.

Nowe lampki Osram z drutu ciągnionego Niepękające



Każda prawdziwa lampka Osramowa musi mieć napis „Osram”. Do nabycia wszędzie

Treść № 7 „Świata”.

Unarodowienie miast polskich. *A. Chołon.*
Z T.Z.S.P. w Warszawie. (Z 6 il.) *Feliks Lubieżyński.*
Poeta Bałkanu. (Z 1 il.) *Tadeusz Miciński.*
Czy. *Tadeusz Nalepiński.*
Femizm na scenie. (Z 3 il.) *K. Daniłowicz-Strzelbicki.*

Nasi rodacy w Paryżu. (Z 3 il.) *K. D.-S., Gordon, D.*
Włoch, przyjaciel Polaków. (Z 1 il.) *Z.*
Czy urządzić w Warszawie w r. 1913 Wystawę Rękodzielniczą. (Z 3 il.) *Demil.*
Wojna na Bałkanach. (Z 6 il.) *Podhorąży.*
Z teatru poznańskiego. (Z 4 il.) *n.*
Inszenjacja „Irydiona”. (Z 2 il.) *M. Dienstl.*
Humor i satyra. (Z 2 il.) *K.-c.*
Najważniejsze wypadki minionego tygodnia.

40-lecie pracy. (Z 1 il.)
TURYSTA POLSKI.
W krainie Piastów. (Z 8 il.) *W. Dworzaczek.*
Na zamku orawskim. (Z 4 il.) *Emil Niebrój.*
Z literatury podróżniczej. *Ktośnik.*
Drobne wiadomości.
ODDZIELNE ILUSTRACYE:
Objaw wandalizmu.
Kursy ogrodnicze w Warszawie.

Z Kalotechniki.

Nr. 100. Suchość i łamliwość włosów przejdzie po zastosowaniu Ol. Hel. Myć głowę mydłem płynnym Antrasolowem. Czerwoność nosa po odmrożeniu usunie krem Eros.

Nr. 12. Cieszy nas, że operacyjka zdjęta tak dużej brodawki na głowie elektrycznością dała taki znakomity rezultat, że nie potrzebuje już Pan zgłaszać się do Kalotechniki. Włosy (wyczeszki) prosimy przy-

ślać do analizy dla zbadania przyczyny wypadania włosów. Kosztuje rb. 3.

Nr. 8. Zęby wybiela i usuwa przykry zapach z ust Elixir radiowy. Do czyszczenia zębów proszek Eljen. Przy suchej cerze smarować twarz kremem Radium i myć się Otrąbkami Vesta z Wodą różaną radiowaną.

Nr. 45. Odpowiedzi w tym dziale udzielamy bezinteresownie. Listy adresować wprost do Kalotechniki: Marszałkowska 116, telef. 16-73.

Nr. 3. Autowibrator d-ra Johansena jest dotychczas najlepszym aparatem do masażu wibracyjnego i rozprzeczania zmarszczek.

Wszystkie wymienione tu środki wysyłamy za zaliczeniem. W Radomiu Cieszkowski, w Sosnowcu Jagiełłowicz, w Piotrkowie Krvński, we Lwowie Pawłowski, Akademicka, 21, w Krakowie Miklaszewski, pl. Dominikański, 1.

Zarząd Kalotechniki.

Poradnik higien.-kosmetyczny.

Pielęgnowanie zębów.

Jednym z pierwszych przykazań, jakie należy wdrażać młodzieży naszej, winno być pielęgnowanie zębów. Zdrowie ich, osiągnięte przy należytem pielęgnowaniu, zapewnia zdrowie całemu organizmowi, a pielęgnowanie ich nie powinno być powierzchownem, byle zbyć, lecz gruntownem i racjonalnem. Najlepszym środkiem do tego celu, jak praktyka dowiodła, jest Tlenol (krem, eliksir, proszek), sporządzony według przepisu d-ra Napoleona Cybulskiego, prof. Wszchnicy Jagiełłowskiej. Działa on zabójczo na wszelkie bakterie, które się w szczelinach zębów i w jamie ustnej wytworzyć

mogą, oraz dezynfekuje należycie całą jamę ustną, nie niszcząc emalji.

Pigułki Sanguinalowe przy leczeniu błednicy.

O znakomitem działaniu pigułek Sanguinalowych najlepiej świadczą następujące zdania lekarzy:

...„Pigułki Sanguinalowe Krewela wyróżniają się z pomiędzy innych preparatów żelaza głównie tem, że zawierają żelazo i energicznie działający mangan w takiego rodzaju organicznem połączeniu, jakie tworzy sam proces życiowy w ustroju zwierzęcym, t. j. w postaci czystej hemoglobiny. Dzięki temu osiągamy idealną wessalność oraz lekkostrawność“...

...„Przekonałem się, że przetwory Sanguinalowe wywierają specyficznie niemal działanie w przebiegu błednicy u kobiet“...

...„Pomyślny zwłaszcza skutek wywierają pigułki Sanguinal w przebiegu chorób nerwowych, a specyjalnie na naurasteników“...

Idealny puder.

Taką nazwą cieszy się zupełnie słusznie puder tak zwany w książeczkach, (*Papier Poudre Ltd.*), Idealnym jest on dlatego, że nie zmusza pań do noszenia przy sobie ani puszek, ani puderniczek, co przy obecnych modnych tualetach byłoby rzeczą bardzo uciążliwą. Puder ten, w postaci małych eleganckich książeczek, ma tę dogodność, że wystarczy wydrzeć z niej tylko jedną kartkę i rozetrzeć po twarzy przy pomocy chusteczki, ażeby okryć ją cieniutką warstwą najdelikatniejszego pudru.

Dr. M. D.



MAŁECKI

SKŁAD przeniesiony na **Nowy-Świat 34**, Telefon 170-65.
Fabryka: Belweder, Zaokopowa 3, tel. 283-70.
RATY na dowolnych warunkach.
Wynajem, gruntowna reparacja i strojenia.



Instytut Politechniczny
w Frankenhausem (Niemcy)
wydział budowy maszyn ogólny i gospodarczych, elektrotechnika, budownictwo.

LOTION DEQUEANT
WŁOSY
BRODA
BRWI
RZESY
Środek kaperost włosów, wstrzymuje ich wypadanie, zapobiega ciwieńle, zwraca im pierwotny kolor bez użycia far, w każdym wieku i we wszystkich wypadkach. Informacje bezpłatne. Na żądanie wysyła się natychmiastowo franco wyciąg z raportu, przyjętego przez Akademię Medycyny w Paryżu. Zwracać się listownie i ustnie do L. Dequeant, Pharm., 11, rue Clignancourt, Paris. Wstrzegać się naśladownictw i fałszykatów. Sprzedaje się we wszystkich lepszych aptekach. Jedyny Importer: Władysław Gebel, ŁÓDŹ, 29, Ręko Mikolajewicza.


WAGR. W ZŁOT. MEDALEM W PARYŻU
ZBIANY
Z KREWELI
WYKONANO
NA WYBIEŻCZYNIE
PARAGO
GÓRSKIEGO
351
80 k
LECZNO
WYKONANO
WYKONANO

PURGEN

IDEALNY
ŚRODEK PRZECZYSZCZAJĄCY
DLA DOROSŁYCH I DZIECI

Bezwartościową imitacją i fałszykaty zawierają te wszystkie pudełka które nie są zaopatrzone w niebieską banderolę z rosyjskim napisem oraz z dołu na pokrywce pudełka nie mają zamieszczonej firmy: Dr Bayer és Társa, Budapest. Pudełka 65 kop. we wszystkich aptekach.

ASTMA.



Każdy astmatyk otrzyma bezpłatnie ilustrowaną broszurę o aparacie Vixolowym, zadziwiającym wynalazku Vixol Limited Merton Abbey w Londynie. Jeżeli po 4-tygodniowym stosowaniu aparatu choroby nie zauważysz pożądanego skutku, otrzymuje z powrotem wplaconą za aparat sumę.

Główny Reprezentant
M. Kozłowski i S^{ka}
APTEKA
Boduena 1, w Warszawie.



Egzystuje od roku 1850.

Fabryka Powozow i KAROSERYI
A. Hertel
w Warszawie, Długa 29. Telef. 22-21.
Posiada zapas **Powozow gotowych** przyjmuje **obstalunki i reperacje**
Katalogi ilustrowane na żądanie wysyła



Trisan
Dra HOMMELA

SPRÓBUJcie BEZWARUNKOWO!
PRZY CHOROBAch PIERSIOWYch LUB
GARDLANYch W OGÓLE PRZY KASZLU,
OCHRYPŁOŚCI, INFLUENZYI, KOKLUSZU,
BRONCHIALNYM LUB PŁUCOWYM KATARZE.
NADER PRZYJEMNY SMAK! NADZWYCZAJ WZBUDZA APETYT!
PROSIMY ŻĄDĄC IMIE

Dra HOMMELA



5 nowych samochodów

różnych typów, pierwszorzędnej marki OKAZYJNIE do sprzedania na dogodnych warunkach, wiadomość Bank Pilawitz, Wilczyński i S-ka Erywańska № 8.

RZĄDCE,

administratora wiejskiego, znającego wybornie wszystkie gałęzie gospodarstwa, ekonomą z kilkunastoletnią praktyką, skromnych wymagań poleca bez kosztów pośrednictwa „Promień“, Marszałkowska 119, tel 181-90.

LEPIEJ, NIŻ SZMINKA...



Najgroźniejszym wrogiem kobiet jest obstrukcja, która niszczy nie tylko zdrowie, ale i urodę. Cera nabiera koloru ziemisto-żółtego, ryśy zaostwiają się, oddech zatrzuwa swą świeżością, brzuch staje się twardy i wzdęty, cała figura zniekształcona. **Skawulin**, lecząc obstrukcję, ulepsza cerę — lepiej, niż szminka.

SKAWULIN, środek przeczyszczający w postaci pigułek bez smaku i zapachu.



KSIEGARNIE... i SKŁADY NUT LEONA IDZIKOWSKIEGO

w KIJOWIE □ □ w WARSZAWIE
KRESZCZATYK 29. MARSZAŁKOWSKA 119.

Polecają następujące wydawnictwa

GWIAZDZISTA NOC z *Kościelca Pogorski*. Wydanie wykwiłtne. Cena rb. 2.
Powieść z życia artystów przez *Juljusaa Germana*. Cena rb. 2.50

ZA CUDZE WINY Powieść z życia ziemianstwa polskiego przez *Anatola Krzyżanowskiego*. Cena rb. 1.50.

OWOC ZAKAZANY Powieść kryminalna z życia arystokracji polskiej. Napisał *Ludwik Romocki*. Cena rb. 1.80.

ROMUALD TRAUUTT Napisał *Maryan Dubiecki*. Książka wyrokiem Senatu uwolniona od konfiskaty. Cena rb. 1.80.

KASSYDY MAURYTAŃSKIE z X-go wieku. I Kassydy. II Rycerze. III Gente leggiadra. *Jan*

Na prowincję wysyła się za zaliczeniem pocztowym.

ZARZĄD TOW. AKC. WYDAWNICZEGO

„ŚWIAT“

zawiadamia pp. Akcjonariuszów, że w myśl § 48 ustawy III-e ogólne, zwyczajne zebranie odbędzie się w lokalu zarządu przy ulicy ZGODA № 1, w dniu 6 Marca r. b. o godz. 5-iej po południu.

Przedmiotem obrad ogólnego zebrania będzie:

- 1) Sprawozdanie i bilans za 1912 rok, oraz podział zysków.
- 2) Budżet wydatków i plan działań na rok 1913.
- 3) Wybór 1-go członka zarządu i 2-ch zastępców w miejsce wychodzących, oraz 5-u członków komisji rewizyjnej.
- 4) Wnioski zarządu w sprawach Towarzystwa.

Gdyby na ogólne zebranie nie przybyli pp. Akcjonariusze, przedstawiający prawie wymaganą ilość akcji, w takim razie powtórny termin III ogólnego zebrania naznacza się na dzień 20 Marca w tymże lokalu o godz. 5-iej po południu i uważać się je będzie za prawomocne bez względu na ilość przedstawionych akcji (§ 63).

PP. Akcjonariusze, życzący sobie przyjąć udział w ogólnym zebraniu, winni przedstawić w biurze zarządu na 7 dni przed ogólnym zebraniem, t. j. do dnia 27 Lutego r. b. akcye, lub odpowiednie dowody.

Bezpłatna nauka!

Każdy nabywca Samouczków, pedagoga *Pl. Reussnera*, uznanych już od r. 1880 za najlepsze, może się nauczyć **bezpłatnie**, bo bez nauczyciela, sam czytać, pisać i rozmawiać bardzo łatwo, przedko i gruntownie po angielsku, francusku, niemiecku i rosyjsku. Po wysłaniu 1 marki za 7 kop. na opłatę poczty do autora (*Reussnera*), ulica **Złota 6 w Warszawie**, każdy otrzyma zesztyt okazowy **Samouczka** **bezpłatnie**. 7933

Nowe książki dla plantatorów Inu.

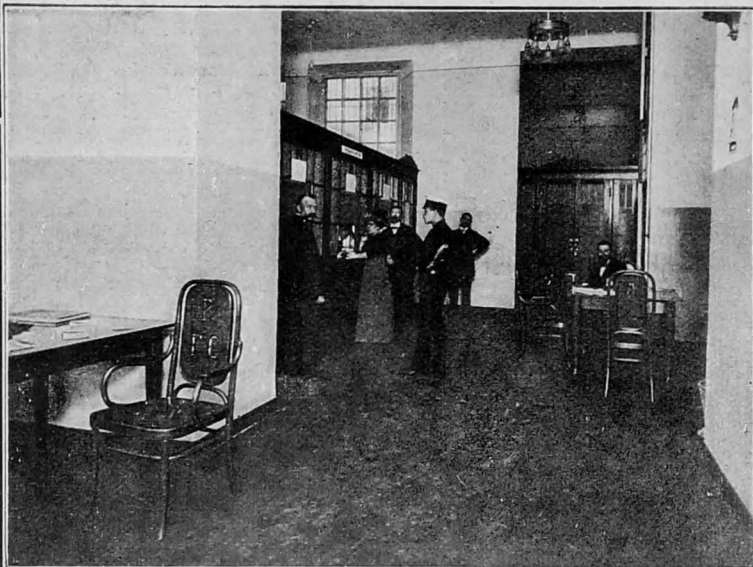
A. P. Mieszczerskiego, E. E. Nowickiego, E. Gołubowa, I. Liwitowa i in.: uprawa i obróbka Inu, statystyka działu Inianego i t. p.
Wyd. T-wa „NOWYJ LEN“. Żądajcie we wszyst. księgarniach. Zarząd T-wa „Nowy Len“ Petersburg, Newski prosp. 34.

Zakład o — Przewozowy

K. Łopaciński,

Warszawa-Praga, Stolarska № 4,
Dom własny. Telefon 24-63.

Przeprowadzki, Przechowanie mebli,
Przewóz i Ekspedycja towarów. 7121



Zarząd kolei Nadwiślańskich

podaje do wiadomości, iż przy ulicy

Moniuszki № 2

otwarty został oddział Stacji Miejskiej kolei Skarbowych do sprzedaży biletów pasażerskich i plackart na wszystkie pociągi kolei **Warszawsko-Wiedeńskiej, Nadwiślańskich i Północno-Zachodnich.**

Tow. Akc. J. JOHN w Łodzi

wyrabia w 3-oh oddzielnych fabrykach:
I. PĘDNIE (TRANSMISYE). II. WYGLĄDZIARKI (KALANDRY) I WALCE DO NICH. III. ORYGINALNE KOTŁY STREBLA DO OGRZEWAŃ.
Biuro Warszawskie: Marszałkowska 148.



RZEŻĄCZKA (TRYPER)

ostra i przewlekła, z łatwością leczy się za pomocą NOWEGO, KLINICZNIE ZBADANEGO PREPARATU

KAVANOSE D-ra REUNET,

zaszczyconego wieloma pochlebnymi opiniami w specjalnej prasie lekarskiej

KAVANOSE D-ra REUNET niszczy mikroby rzeżączki, przerywa wyciek, uśmierza klucia, bóle i w przedkim czasie usuwa zapalenie cewki moczowej.

ZALECANY JEST PRZEZ LEKARZY
Sprzedaje się w aptekach i składach aptecznych.

Cena pudełka rub. 1 kop. 65.

Żądajcie oryginalnego w aluminiowym opakowaniu z plombą komory celnej.

Literatura na pierwsze żądanie bezpłatnie.
Instytut D-ra KALVET Warszawa
Marszałkowska 120
ODDZIAŁ

Hambursko-Amerykańskie Towarz. Żeglugi.

Przejazdki morskie po Rivierze.

W ciągu Lutego, Marca i Kwietnia 1913 r. kursować będzie pośpieszny „Kaiser” mieszczący 2,000 jacht turbinowy: „Kaiser” osób i posia dający obszerny pokład spacerowy oraz wspaniałe salony i kajuty, między miejscowościami:

Genua, San Remo, Mentona, Monaco (Monte Carlo), Nicea i Cannes.

Odjazdy z Genui: we Wtorki, Czwartki i Soboty, o godz. 10 przed południem.

Odjazdy z Cannes w Poniedziałki, Środy i Piątki o godz. 10 przed południem.

Informacje w biurze podróźniczym M. Ryszkowski, Warszawa, Plac Saski 5.

APTEKA K. WENDY

Krak.-Przedm. 45.
Telefon 107. 6584

Wszelkie nowe środki lekarskie do użycia wchodzące.



Neurastenia płciowa

i LECYTAAL

Prof. Kronmayr o Lecytaal

Prowadzone przez prof. Kronmayra badania wykazały, że lecytyna jest jedyną substancją, zdolną wytworzyć w organizmie ludzkim siłę i energię, oraz wzmóc funkcje i działalność organów. Osłabione kiszk nerastenika nie są jednak w stanie wchłonąć potrzebną ilość lecytyny, aby uczynić

je zdolnymi do tej pracy, należy wpieryw pobudzić je sztucznie, co się daje osiągnąć za pomocą różnych fermentów roślinnych. Lecytyna w połączeniu z fermentami roślinnymi, czyli dyjastazami—to LECYTAAL Medyczo-Farmaceutycznego Towarzystwa, jedyny preparat wyrabiany zgodnie ze wskazówkami prof. Kronmayr'a. LECYTAAL Medyczo-Farmaceutycznego Towarzystwa zawiera to wszystko, co wchodzi poszczególnie w skład rozmaitych innych przetworów odżywczych, t. j. fosfor, wapno, żelazo, hemoglobinę—wszystko substancje wytwarzające krew.

Wskutek tego jest LECYTAAL najbardziej skutecznym środkiem, przewyższającym pod tym względem wszystkie inne, stosowane dotąd przy neurastenii, małokrwiści, upadku odżywiania, osłabieniu, działalności kieszek i narządów płciowych (niemoc płciowa) oraz systemu nerwowego i mięśniowego. Jest nie do zastąpienia u osobników osłabionych, przemęczonych, oraz u ozdowieńców, może być stosowany zarówno u dzieci jak u położnic i karmiących, u dotkniętych wadami serca i zwapnieniem tętnic oraz u zgrzybiałych starców.

W jakimkolwiek stanie rozprzęgu znajdowałby się organizm, LECYTAAL, zdaniem prof. Kronmayra wleje weń nowy zasób energii życiowej, wzmocze zamianę materii i przyspieszy wydalenie z organizmu szkodliwych substancji. Broszury wysyła się bezpłatnie na pierwsze żądanie.

Cena pudełka, zawierającego 50 pastylek Rb. 5.—, 100 pastylek Rb. 9.—Wysyłka za zaliczeniem.

Skład główny: Medyczo-Farmaceutyczne Towarzystwo. St.-Petersburg. Artyleryjska № 2. Oddział 0-40.

Sprzedaż we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

7909

TURYSTA POLSKI.

„Turysta polski” wychodzi raz na miesiąc w poł. każdego miesiąca.
Prenumerata wynosi 2 rb. rocznie.

Cena ogłoszeń: wiersz nonpar. 30 kop.

Cena zes. 15 k.

№ 14.
Luty 1913 r.

Adres redakcyi i administracyi:
Warszawa, Zgoda 1 róg Chmielnej
Wydawnictwo Akc. Tow. „Świat”.

Redaktor odpowiedzialny A. Breza.

W krainie Piastów.

Dynastia, która nam dała 22 królów i 1 królowę, która na polskim tronie królewskim zakończyła swe panowanie w r. 1399, a na Mazowszy, ze śmiercią książąt Stanisława i Janusza, w latach 1524 i 1526, — na Śląsku przetrwała do r. 1675 i wygasła na 15-letnim Jerzym Wilhelmie, księciu na Lignicy i Brzegu. Wygasła wszakże po mieczu tylko, bo po każdej pozostałi spadkobiercy. Między innymi, podobno książęta raciborscy, „von Ratibor“, mają pochodzić w prostej linii od udzielnych książąt, piastów, którzy w ciągu bezmała 250 lat, do połowy blisko XVI stulecia, siedzieli na zamku raciborskim, dzierżąc księstwo prawem lennem.

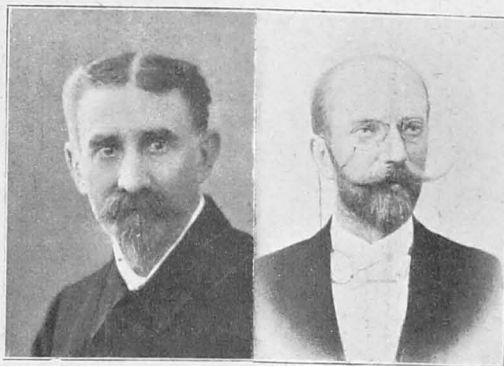
Raciborz dostał się następnie Austrii — w r. 1742 znów był przyłączony do Prus i pod panowaniem ich zostaje od owej chwili bez przerw, zatracając coraz bardziej swój prastary, polski charakter.

Z pamiątek dawnych czasów pozostał zamek, który przebudowywany, poprawiany i powiększany bezustanku, nie literalnie z dawnej struktury ani osobliwości nie zachował. Jedynym ciekawym szczegółem dla zwiedzających jest ułamek starożytnego narożnika gżemsu, przedstawiającego rzekomo głowę tataru. Fragment ten wmurowany został w ścianę. Zresztą, „Fürsten von Ratibor“, pomysłowi i żądni zysków materialnych, urządzili w komnatach pałacowych... browar, niszcząc z wrodzonym kulturalnym niemcom wandalizmem wszelkie pamiątki, ozdoby architektoniczne etc.

Racibórz, podobnie jak wiele innych miast Śląska polskiego, przedstawia oryginalny widok: pokost zewnętrzny, t. j. szyldy, napisy, gwarra uliczna i typ miasta — czysto niemiecki. Grunt: dusza ludu miejscowego, prawie czysto polska, choć, niestety, jeszcze nie dostatecznie rozbudzona, zbyt mało uświadomiona o swoich obowiązkach społeczno-narodowych. Okrąg raciborski, będący ostatnią naszą na południowy zachód wysuniętą placówką, posiada mniej — więcej 5 — 7% Niemców, resztę ludności stanowią (wedle urzędowej statystyki) Polacy 50% i Czechi 43%. Podział ten, sztuczny zresztą i naciągany (bo Czechów jest tu najwyżej 15—20%), ma na celu stwier-

dzenie, że Polaków jest mniej, aniżeli 60%, wskutek czego wolno do nich stosować paragraf „kagańcowy“, t. j. wzbraniać na zebraniach publicznych używania języka polskiego.

Ale myliłby się, kto by uważał tę wysuniętą i ze wszech stron na pociśki nieprzyjaciół narażoną pikietę za straconą. Tak nie jest. Świadomość wśród mas budzi się, choć pomalu, ale wzrasta systematycznie. Pracują nad tem zresztą usilnie i wy-

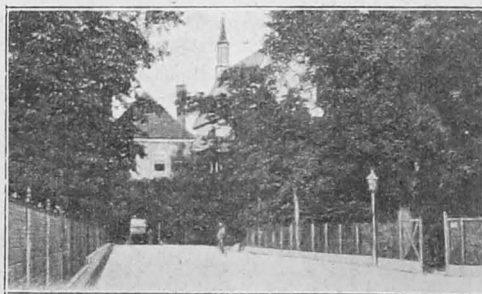


Pałędzki, red. „Nowin raciborskich”.

Br. Koraszewski, red. „Gazety opolskiej”.

trwale ludzie dobrej woli, którzy — przez zakładanie gazet i banków, przez organizowanie gniazd sokolich, stowarzyszeń oświatowych i t. d. — stwarzają punkty uświadamiające, ku którym pomalu zwracają się oczy coraz liczniejszych jednostek z pomiędzy ludu.

Jak wszędzie na Śląsku i wogóle pod zaborem pruskim, głównym źródłem, ogniskiem uświadamiania mas jest redakcja gazety polskiej, połączona z księgarnią „Nowiny Raciborskie“, będące jednym z



Racibórz. Zamek z kaplicą, powstał ze starożytnego zamku Piastów, dziś zamieniony na browar.

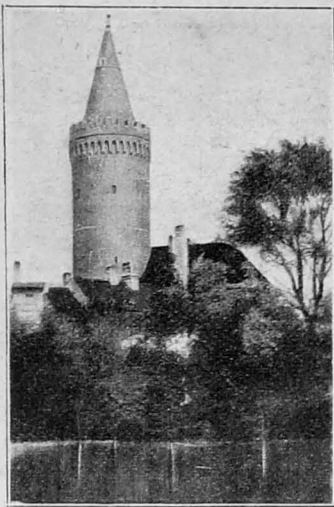
organów olbrzymiego wydawniczego towarzystwa „Katolik“ w Bytomiu, wychodzą 3 razy na tydzień i są umiejętnie redagowane przez p. Pałędzkiego, który, poza swą pracą redakcyjną i dziennikarską, (jak zresztą i wszyscy inni redaktorzy na Śląsku), bezustannie organizuje zebrania, wiece, inicjuje stowarzyszenia, — słowem, prowadzi pracę uświadamiającą narodowo, i to nie tylko w samym Raciborzu i okolicy, ale nawet daleko poza swym polem działania.

Najbliższym od Raciborza punktem, w którym zachowało się nieco pamiątek piastowskich, jest Opole. Charakter miasta taki sam, jak Raciborza. Po wierzchu niemieczyzna — głębiej czysty duch polski i, dodać należy, silniejszy, niż w okręgu raciborskim. Bądź co bądź, jest tu, w mieście więcej niż 60% Polaków, a po wsiach 85 — 95%. Przytem uświadomienie większe i głębsze. Obok „Gazety Opolskiej“, dzielnie prowadzonej przez p. Bronisława Koraszewskiego, powstały jeszcze „Nowiny“, co jednak możnaby uważać za mniej pomyślny objaw ze względu na pewien rozłam w opinii, jaki się skutkiem tego wytwarza. Zaznaczyć trzeba, że „Gazeta Opolska“ przechodziła ciężkie czasy, ale dziś rozwija się doskonale — p. Koraszewski sprowadza do swej drukarni linotypy.

Opole posiada zamek piastowski, nad którym do niedawna widny był na wieży orzeł polski. Niestety jednak, lat temu 10, czy mniej nawet, przy przebudowie wieży, rzekomo w celu przywrócenia jej prastarych kształtów, zauważono, że orzeł polski... skrzywił się. Zdjęto go więc i umieszczono w dziedzińcu, na wieży zaś zawisł nieproporcjonalnie wielki orzeł pruski...

Jedną z osobliwości Opola jest ratusz, pochodzący z wieku XV, ale potem kilkakrotnie przebudowywany i mający wybitne piętno pruskich budowli publicznych. Stoi on, starą modą, pośrodku rynku i otoczony jest z 3-ech stron sklepami, piwnicami, bramami.

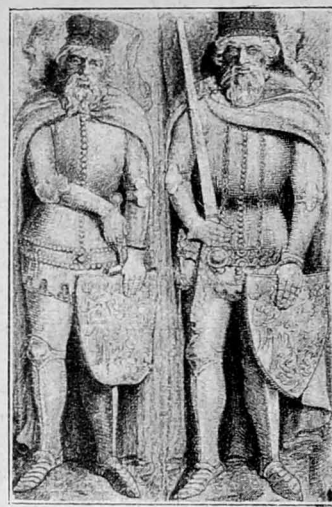
W kościele Minorytów, dziś zamienionym na zbór protestancki, znajdują się groby książąt opolskich i, między innymi, sarkofag Bolka Niemodlińskiego i Bolka Opolskiego, książąt z wieku XIV. Nagrobek ten, dawniej wmurowany w ścianę w for-



Opole. Zamek Piastów.
Wieża z polskim orłem.



Ratusz w Opolu.



Nagrobek Bołka Niemodlińskiego (1313—1370) i brata jego, Bołka Opolczyńskiego (1313—1356), w dawnym kościele Minorytów (obecnie protest.)

mie stojącej, dziś jest jakby przykryciem cementowego sarkofagu.

Na tym i jeszcze drugim sarkofagu książniczek śląskich kończą się niemal wszystkie pamiątki piastowskie w Opolu. Nagromadzone w Muzeum miejskim okazy należą bądź do epoki „walki za ojczyznę” w r. 1870, bądź, conajwyżej, do przeszłości Opola, jako grodu niemieckiego. Więc dyplomy książąt, nadawane cechom, miastu i obywatelom, więc narzędzia tortur i t. p.

Na Opolu kończy się Śląsk, gdzie oprócz wspomnienia po Piastach pozostała jeszcze i polszczyzna... Jeszcze kilka stacyi w kierunku Wrocławia, i znajdujemy się w krainie czysto niemieckiej, gdzie zaledwie tu i owdzie możnaby odszukać jakąś polską wysepkę, jakąś wioskę zapomniałą, której mieszkańcy mówią po polsku i to polszczyzną doskonałą. Ale są to placówki w całym tego słowa znaczeniu stracone: już obecne najmłodsze pokolenie nie zna swego ojczystego języka, bo rodzice mówią często sami do swych dzieci po niemiecku.

Miasto Brzeg, przez które wielu polskich turystów przejeżdża bez zatrzymania się nawet, stanowi jakby pierwszy punkt Śląska już stanowczo i nieodwołalnie stracony. Brzeg — po niemiecku Brieg — to

typowe prowincjonalne miasteczko niemieckie, zresztą, dzięki swemu położeniu i ślicznym plantacyom, bardzo malownicze. Szeroka „Piastenstrasse” (musi ona być w każdym zresztą mieście na Śląsku!) prowadzi od dworca na rynek z ratuszem

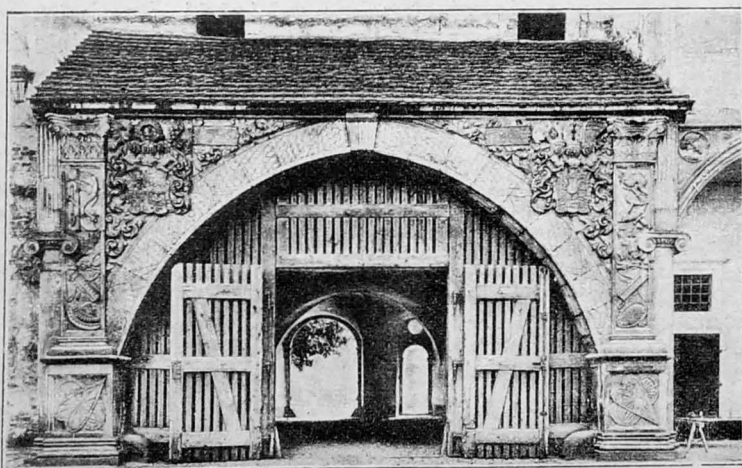


Brzeg. Front zamku Piastów.

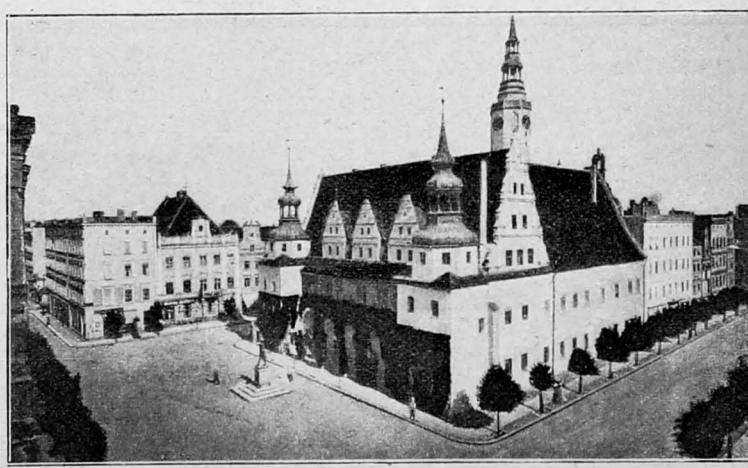
czysto niemieckim pośrodku i z szeregiem podcieni dookoła.

Zamek piastowski, zbudowany w drugiej połowie XVI wieku w pięknym stylu odrodzenia, zachował tylko nienaruszone: bramę wjazdową z figurami i licznymi popiersiami królów jakichś i książąt, obramowanie wrót od strony dziedzińca i kilka naścienne, miejscami bardzo dobrze zachowanych, komnat pałacowych. Stosunkowo najlepiej zakonserwowały się te, które zamieniono na magazyny intendentury wojskowej; nie ruszono tam przynajmniej przepysznych oddrzwi marmurowych lub ciosowych, nie zniszczono fresków. Wiele jednak pomieszczeń zamieniono na mieszkania prywatne i tu już wszelkie względy artystyczne lub historyczne musiały ustąpić przed koniecznością postawienia pieca dla stróża lub urządzenia chlewu dla jego nierogacizny... Już w r. 1741 złupili prusacy zamek brzeski do szczętu; dziś niszczą resztki świetnej przeszłości piastowskiej. — W kościele św. Jadwigi, należącym do zabudowań zamkowych, znajdują się grobowce niektórych książąt na Brzegu i Lignicy.

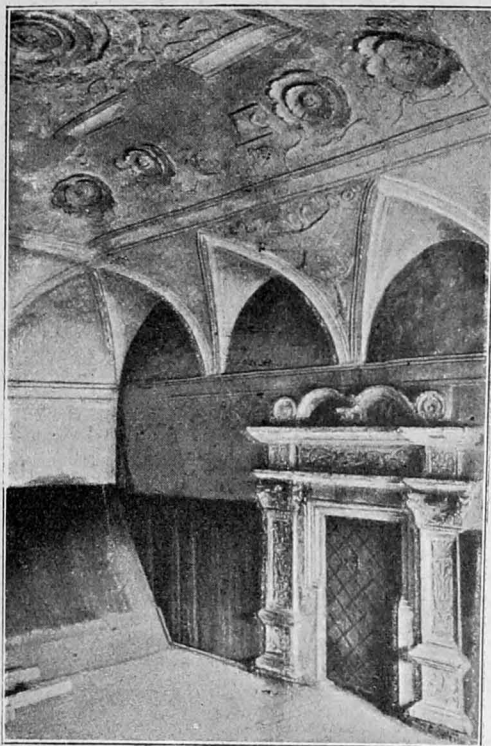
Oba te księstwa, połączone w osobach wspólnych władców ze zniem-



Brzeg. Zamek Piastów.



Brzeg. Ratusz.



Brzeg. Wnętrze zamku Piastów. (zbudowany w r. 1547—1584). Obecnie magazyn za-
rządu wojskowego.

czonego rodu Piastów, po zupełnym prawie zerwaniu ze swą polską metropolią, popadły w wir zatargów, wojen i komplikacji niemieckich, wskutek czego książęta przez łączenie się z niemkami, przez posiłkowanie się rycerstwem i handlem niemieckim i wreszcie przez osadzanie w kraju kolonistów niemieckich zniemczyli doszczętnie te dzielnice.

Więc Wrocław, Głogów, Lignica, Świdnica, Brzeg i t. p., nietylko politycznie, ale i duchowo odpadły od nas bezpowrotnie i to za sprawą przede wszystkim książąt piastowskich, na Śląsku panujących. Więc też wyjątkowo, jak w Opolu np., ze wspomnieniem o Piastach łączy się pojęcie o polskim orle — o polskości wogóle. Inni Piastowie, dalej na zachód, to już Niemcy czystej krwi, pomimo utrzymania nieraz imion słowiańskich. Częstoż byli nie tylko sami Niemcami, ale germanizowali planowo swoje dzielnice...

W. Dworzaczek.

Na zamku orawskim.

Ileż to wieków i ile ludzkich pokoleń przetrwało to dziwne zamczysko! Ilu się ludzi składało na stworzenie tej dziwnej siedziby, potężnej, naturą obrotnej? Jak się odważył człowiek na skalnym, wyniosłym urwisku, pod którym się Orawy powolne toczą wody, zakładać sobie gniazdo, niby gniazdo orle? Nie odpowie nam zamek, nie odpowiedzą dokumenty historyczne, które o zamku mówią dopiero od XIII wieku.

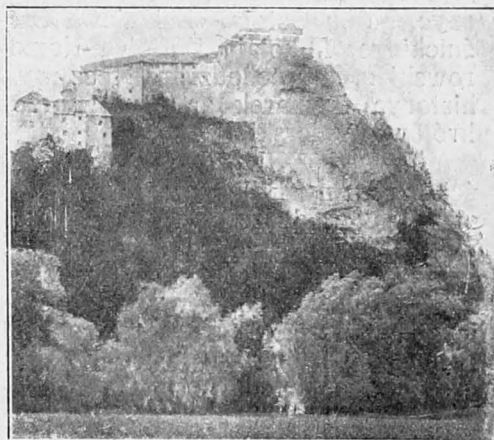
Ponury stoi i groźny i majestatem swym pyszny. Wieki minęły, po ludziach, co go budowali, i śladu nie zostało jednego — on przetrwał nawałnice czasu. Więc nad okolicą pa-

nuje spokojny, cichy, jak dziecko do snu ułożone. Nie mać jego spokoju nikt, chyba przygodny turysta lub robotnik, krzątający się w salach, gwarnych dawniej, powoli i cicho, by nie budzić zamczyska z uśpienia. Zgrzytają czasem „Piotrowe“ klucze w zarzewiałych zamkach, stróż, jedyny mieszkaniec rozległego zamku, snuje się po salach — jak widmo. Czasem turyście coś powie z historii zamku, coś, czego z pewnością nie było — ale wierzy mu się, bo w tych głuchych salach głos jakiegoś, dziwnie przekonywającego, nabiera wyrazu, wierzy się, by później śmiać się z siebie samego. O! ciekawi są ci stróżowie starych, opuszczonych zamczysk!

Tajemnic pełen. Gdy się człowiek zapanuje w skale kute ściany najwyższego zamku, oczekuje się tylko, kiedy zbroja zachrześci, lub kiedy się ozwa głos wesoło biesiadujących zbrojnych hućców rycerstwa.

Minęły wieki. Mury pozostały tylko, by świadectwo dać dawnej kultury.

Zamczysko górne, wznoszące się na wysokości około 200 metrów ponad poziom okracającej go od wschodu Orawy, przylepione do skały, jak gniazdo bocianie, najstarsze jest i,



Zamek orawski od południa.

jak wieści niosą, miało być pierwotnie słowiańskim grodziskiem. Nikt nam nie powie, jaki śmiałek tam sobie upatrzył siedlisko, by, pewny siebie, mógł władać okolicą całą, wrogów się nie bojąc napaści. Spokojny mógł być — broniły go nurty rzeki, broniła i skalna ściana, w której strome, wykowane schody z łatwością bronić się dały. I dziś, gdy człowiek z okien zamku popatrzy, dreszcze go przechodzą. A dawniej człowiek na tem samym miejscu, dźwiąc sobie z niebezpieczeństw i trudności, budował gmach. Dziś na to by się nie zdobyła nawet inżynierska sztuka.

Gdzie się podział ten człowiek odważny?

Średni zamek, odnawiany obecnie powoli i po partacku, połączony jest z górnym kamiennymi, stromymi, do skały przypartymi schodami. Dzieli go od górnego małe, ciasne podwórko, z głęboką na przeszło 100 metrów studnią, no i różnica poziomów. To



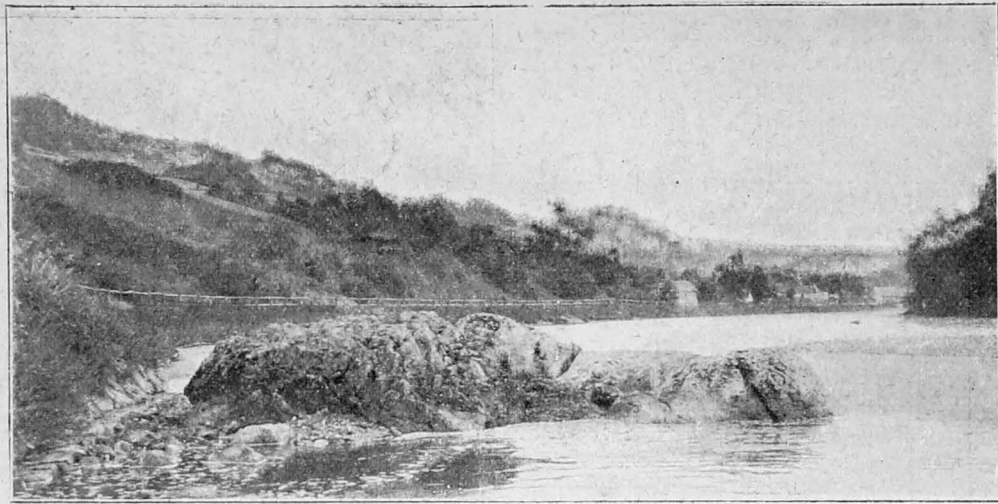
Przeście z zamku średniego do najwyższego.

już wytwór późniejszy, datujący swe powstanie od XV wieku. Odczuwa się to już w stylu samym. Ostre, sklepienie okna, drzwi, gotyckie obramienie drzwi żelaznych. Więcej też musiała wyteńczyć się myśl budowniczego, by przez wybudowanie na południowych, więcej łagodnych, stokach góry nie dać przystępu do zamku nieprzyjacielowi. Tu więc widzimy już pobudowane baszty obronne.

I znowu ta pustka, znowu to zniszczenie, a co gorsza, ręka dzisiejszego człowieka, chcącego odbudować to, co budowały wieki, co stwarzał ktoś, celu swego pewny, co zniszczył czas, a czego człowiek bez nadzwyczajnego ze swej strony poświęcenia, człowiek bez kultury, odbudować nie potrafi.

Mimowoli nasuwa mi się porównanie między Wawelem a Zamkiem Orawskim. Wawel jest własnością narodu, naród go odbudowuje, świadom kultury swej i świadom swych dziejów, naród dla królewskiego zamku nie żałuje ani pracy, ani myśli, ani złota. A tu? Własność prywatna, odbudowywana prywatnym kosztem, bez celu, bo nie zamieszka nikt ponurych komnat, o małych okienkach, i bez planu, bo nie zrosli się z historią zamku jego właściciele. I stąd dysonans.

Najniższy zamek, jako wytwór wieku XVI i XVII, rozłożony szeroko, z całą masą baszt obronnych, kaplicą, stajniami dawnymi, przedstawia najmniej smaku artystycznego. Razi w budownictwie zepsutym renesansem, miejscami, jak np. w kaplicy, barokiem. Z drugiej jednak strony, jako wzór budownictwa fortyfikacyjnego początków wieków nowożytnych, tunelami ciemnymi, całą masą zakamarków, kilkoma bramami, zamykającymi wązki, ciasny korytarz od jedyne go głównego wejścia, które udostępnia dzisiaj w miejsce dawnego mostu zwodzonego stromy mostek



Fot. E. Niebrój.

Orawa pod zamkiem orawskim.

drewniany, może zamek ten zacięka-
wić.

Tu najwidoczniejsza ręka czło-
wieka dzisiejszego. Doraźnie zbiera-
ne i nieumiejętnie grupowane muze-
um przyrodniczo-przemysłowe ziemi
orawskiej, w salach, obok obrazów
historycznych, porozwieszane ol-
brzymie portrety właścicieli zamku
z ostatniego stulecia, obok history-
cznych pamiątek umieszczone imita-
cye przykre robią wrażenie.

Poco się człowiek wtrąca w te
mury, powaga strojne i grozą swą
pyszne? Poco się zdradza z tem,
jak małym jest wobec tych, co byli,
poco psuje dawnej kultury świade-
ctwo?

A mimo wszystko, ciągnął mnie
ten zamek do siebie, nęcił mnie tajem-
niczą historią swoją. Korzystając
z wolności, gdy kilku niemieckich tu-
rystów słuchało z uwagą starostró-
ża zamkowego, podziwiało portrety
Zichych i Palfiyh, wołając z rado-
ścią: „O! wie schön ist dieses



Przejście z zamku dolnego do średniego.

Gemälde“, wałęsałem się po zamczy-
sku, po belkach się przechadzałem
nad kilkopiętrową przepaścią, gdy
zauważył ślady jakiegoś starego ma-
lowidła ściennego. Wymowniejsze
one były dla mnie od wszelkich por-
tretów.

I pragnąłem sobie w myśli cho-
ciaż uprzytomnić związek tego zam-
ku z naszą historią. Toć historia
jego łączy się z nazwiskami królów:
Kazimierza Wielkiego, Władysława
Warneńczyka, św. Kazimierza kró-
lewicza, z osobami Ścibora ze Ścibo-
rzyc, herbu Ostoja, Zbigniewa Ole-
śnickiego, Mikołaja i Piotra Komo-
rowskich. Przechodzi mi przez myśl
historia frymarek zamkiem przez
królów węgierskich.

W wieku XIII zamek był własno-
ścią rodziny Balaszów, którzy go
otrzymali w darze od króla Andrze-
ja II, później odebrał im go Bela IV,
uznając jego strategiczną wartość;
po wygaśnięciu linii Arpadów dostaje
go mistrz Tomasz od Karola I za
pomoc, udzieloną mu w wojnie suk-
cesyjnej, lecz niedługo potem wymie-
nia go na dwa inne zamki. W kilka
lat potem, znowu drogą darowizny,
przechodzi na własność hrabiów z
Kremnicy aż do czasów Ludwika
Węgierskiego. Ten urządza zamek
i podejmuje w nim częstokroć kró-
lewskich gości z Polski, jak Kazimie-
rza Wielkiego.

Na początku XIV wieku dzierżył
zamek Orawski Ścibor ze Ściborzyc,
później więziony był w zamku ora-
wskim wojewoda ruski, Piotr Odrowąż,
którego jednak dla prześlągnięcia
Władysława Warneńczyka ówczes-
ny starosta orawski uwalnia z chwi-
lą, kiedy w walkach sukcesyjnych
o tron węgierski zwyciężyło stronni-
ctwo Władysławowe.

W czasach rządów Jagiellonów
na tronie polskim, czeskim i węgier-
skim widzimy na zamku orawskim
Piotra Komorowskiego, popierające-
go dążności oburzonej uciskiem po-
datkowym króla Macieja Korwina
szlachty węgierskiej, pragnącej wi-
dzieć na tronie jednego z synów Ka-
zimierza Jagiellończyka. Lecz do-
sięga go za to zemsta Macieja Kor-
wina. Komorowski traci zamki swo-

je na Węgrzech, a ostatecznie ustę-
puje nawet z zamku Orawskiego.

I dalej jeszcze zamek Orawski
jest przedmiotem ciągłych sporów,
ciągle odgrywa dużą rolę w walkach
sukcesyjnych. W r. 1534 dostaje go
polak, Jan z Dubowy, który najwię-
cej przyczynił się do rozwoju i wy-
posażenia zamku średniego, po nim
przechodzi na własność rządy zam-
ku, Siedlnickiego, od którego odkupił
go biskup nitrzański, kiedy, zakocha-
wszy się w Barbarze Kostkównej,
przeszedł na protestantyzm i ożenił
się z nią. Od tego czasu pozostaje
zamek w ręku magnackich rodzin
węgierskich, będąc niejednokrotnie
świadkiem walk, pod jego murami
staczanych. Pożar ostatni w r. 1800
spustoszył zamek; odnawia się, od-
budowuje powoli. Jak? Nie mów-
my już o tem.

Minęły wieki; ludzi już niema,
co przewinęli się przez zamek, a za-
mek sterczy, powaga strojny i dumny.
Stoi na dowód siły dawnych pokoleń
i wzór dawniejszej kultury.

Emil Niebrój.

Z literatury podróźniczej.

Ewa hr. Dzieduszycka: INDYE i HIMA-
LAJE. Wrażenia z podróży. Lwów, 1912.
Skład główny w księgarni Polskiej B. Po-
tonieckiego. Warszawa, Wende i S-ka.
Stronic 136.

Wytworną pod względem zewnętr-
nego wyglądu książką wzbogaciła hr.
Ewa Dzieduszycka naszą literaturę po-
dróźniczą.

Książka, formatu wielkiej czwórki,
łoczona w drukarni Anczyca w Krako-
wie na kosztownym papierze, zdobna w
kilkadziesiąt przepysznych rycin, ujęta w
ładną okładkę, należy do rzędu tych wy-
dawnictw, które samą już szatą nieco-
dzienną, wykwinną, łechcą, zaostrzają
naszą ciekawość, ażeby treść jej poznać.

Autorka nie jest nowicjuszką w od-
bywaniu dalekich podróży. Wiemy o tem
z fragmentów, rzucanych od czasu do
czasu w tem lub owem piśmie, a że jest
umysłem subtelnym, w lot chwytającym
nasuwające się wrażenia, że umie pa-
trzeć i spostrzeżeniami swojemi dzielić
się z czytelnikiem, więc też i książka jej
nie samo tylko estetyczne, dla oka, może
dać zadowolenie, i nie dlatego tylko spo-
tykać ją będziemy na najbardziej widocz-
nych miejscach naszych bibliotek, na sto-
likach salonów, że jest ładnie wydana.

„Tym, którzy lubią marzyć o kra-
inach jasnych, pełnych słońca, których
fantazja unosi nieraz poza spienione mo-
rza, do ziemi o blaskach świetlnych,
do krain o bajecznych świątyniach, lek-
kości koronki i alabastrowej białości ma-
muru...“ — poświęca autorka swą książ-
kę i nie przynosi im zawodu; przeciwnie,
hojną jest w dzieleniu się z nimi gorącz-
kowo snać wchłanianemi wrażeniami.

Z chwilą wyjazdu z Tryestu na
pokładzie „Koerbera“, z kalejdoskopową
szybkością, przesuwając autorka przed
oczami naszej wyobraźni widoki morza,
wschód słońca, cudne brzegi Grecyi,
Krety, zarysowujące się w dali palmy
Egiptu, Port Said — owo miasto nie-
spodzianek, gdzie całe życie ludności ze-

środkowie się na ulicach, tak, że domy zdają się niepotrzebne; Suez z otaczającą go dokoła atmosferą pustynną, kędy to „szedł przed wiekami naród, którego dzieje nazawsze wyryte są w księdze ludzkości — i ze szczytu tej góry, co wznosi się teraz przed nami, ze szczytu Synai wyszedł wyrok, co ziemię przemienił i dziś jeszcze tętni w sercach narodów. Wtedy już ziemia ta była tak wymarłą, milczącą i senną, niby kraj spalony kosmiczną pożogą”.

Silne wrażenie wywiera autorka opisem swojej przeprawy przez morze Czerwone, zasiane koralowemi rafami, do burzy skłonne. W dzień: „słońce — słońce nie zaćmione nigdy żadną chmurką, gorące, rozżarzone, przepala nas do głębi”; „wieczorem — płonie niebo i nabiera purpurowej barwy; dlatego zapewne nazwano je Czerwonem”.

Jak sen, przesuwają się przed podróżniczką wyspy ze szczątkami masztów i kadłubów rozbitych okrętów; na niektórych palą się światła latarni i budzą smutne myśli o tych, których pozostawiono tu na straży, skazując ich przez pół roku na grozę przejmującą samotność i rykiem fal przerywają ciszę... Dalej — Mokka, owa „cita bianca”, Bab el Mandeb — „cieśnina wąwozów, skał, gór, pustynna, smutna, po której błądzą karawany, znajdując śmierć bez wody, na której bieleją kości wielbłądów i ludzi, od setek lat, od niepamiętnych wieków...”

Ranek. Ruch okrętu ustaje i „przez okna nasze widzimy łańcuchy gór, skał poszarpanych i dzikich, niby wewnątrz Tatr, tylko Tatr, z których życie uciekło na zawsze. Zamiast jezior szmaragdowych szafirowe morze bez kresu...”

Aden. Wydaje się, jak z bajki ponurej, dzikiej, którą opowiadają dzieciom wieczorem przy kominku: „Było lat temu tysiące...”

Korzystając z krótkiego postoju w porcie, udaje się turysta do miasta drogą „tak fantastyczną, że trudno uwierzyć, że nie przeżywamy snu z bajki czarownicy. Oto np. przeciskamy się przez szczelinę skalną tak wąską a wysoką, że ledwie dostrzegamy niebo, jak pas błękitny, nad głową. Wózek nasz zatrzymać się musi, bo ze szczeliny wysuwa się fantastyczna karawana. Jadą na wielbłądach ludzie, pięknie ubrani, niby trzej królowie na barwnych obrazkach. Płaszcz na nich czerwone, lamowane złotem, turbany zielone a twarze czarne, w których białe połyskują zęby. Jadą po piasku cicho, bez szmeru, a w wązkim przesmyku skalnym wydają się, niby zjawiska potworne, wydłużone a niezwykłe...”

Zwiedzwszy pobieżnie Aden, autorka w dalszą udaje się drogę. „Trzy dni szalała burza, bawiąc się okrętem naszym, jak piłką. Na morzu tworzyły się przepaście i góry — przepaście miały kolor ciemnego granitu, na szczytach zaś seledynowych fal był rąbek białej piany, która, spadając w otchłań, rozbrzygowała się w drobny pył o brylantowych blaskach...”

Aż jednego wieczora, gdy nastąpiła tak dawno upragniona cisza, na dalekim horyzoncie ukazują się jakby gwiazdy, co się zapalają i gasną, niby błędne ogniki, wędrujące po łąkach. „Na niebie świeci blask Krzyża południowego — inne tu gwiazdy, jak u nas, i inne tu niebo. I ziemia, co leży przed nami, nieznana a tajemnicza, wabi nas urokiem swych legend bajecznych...”

Bombay, miasto Parsów — pierwszy etap w Indyach. Groty Elefanty, dżungle, Ahmedabad, Jaypor, Amber, A-

gra, Benares, Kalkuta — wszystko to już było, wszystko to już znamy z opisów, skreślonych znakomitemi piórami, mógłby ktoś powiedzieć, a jednak autorka, dzieląc się z nami swemi wrażeniami, wszystko to, co już, zdawałoby się, znane nam jest dobrze, ukazuje nam w zgoła innym świetle. Zwiedzając np. cuda architektury indyjskiej, pałace bajeckie, mauzolea, świątynie, grobowce, nie pomija żadnego szczegółu w zwyczajach i obyczajach tubylców, snuje porównanie dwóch, tak bardzo niepodobnych do siebie religii, podpatruje tajemnice kapłanów bramińskich, fakirów, przeplata swoje poważne myśli godnemi wspomnieniami, niekiedy uciesznymi, epizodami, daje nam barwny opis obozów arabskich, gdzie „wciąż, wciąż nowe przemykały się konie i tylko rozlegał się tentent dzikiego galopu i migąła rozwiwna grzywa ogiera i białe skrzydła pędzącego araba”. A niekiedy, „gdy półmrok okrywał jeszcze ziemię, dosiadaliśmy ogierów, zakupionych u arabsów, i puszczaliśmy się galopem wzdłuż morza...”

Podróż swą kończy hr. Dzieduszycka na stokach Himalajów, u stóp szczytów, dumnych, niedostępnych, które „wiecznie królować będą nad światem białe, nieskalane i, choć człowiek zbada kulę ziemską od końca do końca, one jedne pozostaną nietknięte i czyste, a zawsze pożądania godne i nieznane”.

Hr. Dzieduszycka — powtarzamy — umie patrzeć podróżując i dzielić się swymi wrażeniami, a że książka jej ładnym, bardzo poprawnym pisana językiem, więc czyta się ją z prawdziwym zajęciem od początku do końca.

Kłóśnik.



Drobne wiadomości.

Przyszłość zdrojowisk galicyjskich. Główną przeszkodą należytego rozwoju zdrojowisk galicyjskich był dotąd brak zdrowego kredytu dla tej gałęzi przemysłu. Obecnie, na podstawie koncesyi, udzielonej przez rząd austriacki, powstaje w Galicyi nowa instytucja, która sprawę zdrojowisk może wprowadzić szybko na najjaśniejsze tory. Instytucją tą jest „Galicyjski Bank Zdrojowisk”, towarzystwo akcyjne, z siedzibą we Lwowie. Celem Towarzystwa jest podniesienie zdrojowisk i uzdrowisk w Galicyi, na Śląsku i na Bukowinie pod względem gospodarczym i sanitarnym. Kapitał zakładowy Banku wynosi milion koron w akcyach po 400 koron, może być jednak każdej chwili bez osobnego zezwolenia państwowego podniesiony do wysokości 2,000,000 kor. Zasłużone dla rozwoju zdrojowisk galicyjskich pismo „Nasze zdroje” zamieszcza w ostatnich numerach szereg szczegółów z historyi starań o koncesyę na bank. Poświęcono urzędowistnieniu projektu wiele zabiegów i pracy, musiano zwalczyć niejedną trudność, popierać starania i posłowie, i polacy w wiedeńskim ministerjum skarbu.

Jak pilna i doniosła była ta sprawa, najlepiej świadczy kilka cyfr, które cytujemy za „Naszemi zdrojami”. Związek zdrojowisk i uzdrowisk w Galicyi, bada-

jąc stosunki naszych zdrojowisk krajowych, przekonał się, że przyjeżdża do nich przeszło 80,000 kuracjuszków rocznie, pozostawiając w kraju w przeciągu sezonu letniego przeszło 25 milionów koron. Dochód ten reprezentuje wartość zdrojowisk i uzdrowisk galicyjskich w stanie obecnym w sumie przeszło pół miliarda koron. Jest to kwota nadzwyczajnie okazała. A jest także rzeczą pewną, że przy stosunkowo nieznacznych inwestycjach, wartość ekonomiczna podwoiłaby się conajmniej. To zaś ma ułatwić nowo utworzony akcyjny Bank Zdrojowisk galicyjskich.

Komunikacja hydroplanowa. Między Nizzą, Cannes i Monaco będzie w ciągu bieżącego miesiąca zaprowadzona stała komunikacja hydroplanowa, jako nowa atrakcja dla przybywających na Riwierę gości. W tym celu nabyto cztery hydroplany francuskiej konstrukcji, z których każdy, oprócz pilota, może zabrać dwóch pasażerów. Cenę za przejazd z Nizy do Cannes lub Monaco ustanowiono na 200 franków; bilet tam i z powrotem kosztuje 250 fr. Przedsiębiorcy mają nadzieję, że nowy ten środek komunikacyjny rychło znajdzie uznanie turystów i że już w najbliższym czasie komunikacja hydroplanowa między wspomnianymi miejscowościami znacznie się wzmoże.

Zniszczenie polskiego zabytku. Piśma poznańskie donoszą, że niedawno temu sprzedano na rozbiórkę starożytny dworek w Karlikowie pod Sobotami, gdzie w roku 1660 mieszkała małżonka króla Jana Kazimierza podczas rokowań pokojowych szwedzko-polskich i gdzie później często przebywał Jan Sobieski i królowa Marysieńka. Jest to jeden z najstarszych polskich zabytków w Sobotach. Wraz z dworkiem znikną też wspaniałe, otaczające go, stare lipy.

Z nad źródeł Wisty. Wielki hotel „Piast” w znanej miejscowości klimatycznej śląskiej, w Wiśle, wraz z zakładem wodoleczniczym, kilkoma realnościami i znacznym obszarem gruntu nabyła na własność specjalnie zawiązana „Spółka Wiślana”, do której, między innymi, należą z Warszawy pp.: J. E. ks. Juliusz Bursche, Henryk Dynowski, dr. Zbigniew Paderewski, Edward Geisler i Marya Nowodworska. Kupno to ma tem donioślejsze znaczenie, ponieważ zachodziła obawa, że hotel przejdzie w niemieckie ręce, co nie pozostałoby bez wpływu na polski charakter uzdrowiska.

„Jasny brzeg”. Jeden z najpiękniejszych zakątków południowej Europy, mianowicie pobrzeże między Genuą a Nizzą, mało jest znane turystom, odbywającym tę podróż koleją; pociągi przebiegają przez przekopy i przez tunele, gdzie indziej za ledwie otwierają szerszy widnokrąg. Jakże inaczej przedstawiają się te przepiękne krajobrazy od strony morza. Całe majestatyczne pasmo Alp Liguryjskich odsłania się przed wzrokiem turysty; każda godzina odsłania nowe widoki. Krążące dotychczas w sezonie, t. j. przez miesiące: luty, marzec i kwiecień, między Genuą a Nizzą statki salonowe Towarzystwa Hamburgsko-Amerykańskiego, były zaszczupłe, aby pomieścić dwuosobnych podróżnych, obierających tę drogę. Dlatego w sezonie bieżącym wprowadzono nowy, pośpieszny turbinowy statek, „Kaiser”, z oszklonemi, nakształt werrand, pokładami i ze wspaniałe urządzeniami salonami. Dla naszych podróżnych, jadących z Warszawy do Nizy, bądź przez Wiedeń, bądź przez Berlin, przejazd ten morzem może być pożądanym

urozmaiceniem i wypoczynkiem po czterdziestokilkogodzinnej podróży koleją.

Turystyka w Trypolisie. Po przejściu terytorium i miasta Trypolisu w posiadanie Włoch, kraj ten został znów, po długiej przerwie, otwarty dla turystyki. Miejscowe władze włoskie zajęły się energicznie uporządkowaniem portu i miasta. Powstają liczne budowle publiczne oraz prywatne, między innymi, hotele i teatr. Jedną z oaz w pobliżu miasta ma być przekształcona na pierwszorzędną stację klimatyczną; w tym celu powstaje wielkie towarzystwo akcyjne, subwencyonowane przez rząd.

Odpowiedzi redakcyi.

Prenumeratorko z Litwy. Najodpowiedniejszą porą do zwiedzania Hiszpa-

nii jest wiosna, t. i. miesiące: kwiecień i maj. Nieznajomość języka pociąga za sobą pewne niedogodności, zwłaszcza w miastach prowincjonalnych. Lepiej przeto przyłączyć się do jakiegokolwiek zbiorowej wycieczki, co umożliwi zwiedzenie wszystkich osobliwości bez kłopotów i za względnie niską cenę. Jedną z takich wycieczek organizuje znane biuro turystyczne J. Wierzbickiego w Monachium; wycieczka rozpoczyna się w dniu 1 kwietnia r. b. i trwać będzie cały miesiąc. Zwiedzane będą kolejno: Monachium, Medyolan, Genua, Algier, Gibraltar, Tanger, Algeziras, Kadyks, Granada, Malaga, Sevilla, Cordoba, Toledo, Madryt, Saragosa, Barcelona, Marsylia, Lyon, Genewa, Monachium. Koszt współudziału z całym utrzymaniem wyniesie około 600 rubli.

W. K. W chwili obecnej, z powodu

wojny, dojazd drogą lądową do Konstantynopola jest przerwany. Dostać się można tylko morzem, bądź przez Odessę, bądź też przez rumuński port, Konstanca. Polecamy tę ostatnią drogę, gdyż cała podróż trwa tylko 52 godziny, a przejazd morzem na dużych i świetnie urządzonych rumuńskich statkach tylko 12 godzin. Co do szczegółów, zechce się Pan porozumieć z któremkolwiek z biur podróżniczych w Warszawie.



Z dziedziny wynalazków.

Znany nam wszystkim mistrz kosmetyki p. Klimecki (Niecała 5) wynalazł nowy środek kosmetyczny, który nazwał „Alma”. Alma

jest to płyn bezbarwny i bez szkodliwych składników — leczący wądry, połysek cery, wypryski i krosty a przytem zwęża pory. Po szeregu prób i doświadczeń, które wypadły jak najpomyślniej, Alma została za-

twierdzona przez Urząd Lekarski, a więc ma gwarancję rzeczową.

Wzmianka ta niech będzie bodźcem dla p. Klimeckiego do dalszej pracy, abyśmy wzbogacili nasz przemysł krajowy. *Ostoja.*

Kaloderma

KALODERMA-MYDŁO
KALODERMA-KREM
KALODERMA-PUDER RYZOWY

Najlepszy dla zachowania
piękności skóry.

F. WOLFF i SYN
KARLSRUHE
BERLIN-WIEDEN

7648 Sprzedaż we wszystkich aptekach, perfumeryach składach aptecznych.

Zakład krawiecki

S. GÓRANOWSKI

Warszawa, **Nowo-Senatorskiej № 2.** Tel. 52-05.

MEBLE Zakład Taplicersko-Dekoracyjny i Stolarski
A. STRÓMIŁO, Al. Jerozolimska 70.
Telefon 29-59.
całkowite urządzenia lokali lub pojedyncze sztuki. Ceny niskie
7505

Najlepsze książki do nabożeństwa dla inteligencji:

- 1) *Księgęska miniaturowa* przez O. S. B. Tow. Jez. 7837
- 2) *Modlitewnik katolicki* tegoż autora.
- 3) *W imię Ojca i Syna i Ducha św.* przez Zofię z Fredrów hr. Szeptycką, wyszły nakładem Księgarni katolickiej **D-ra Miłkowskiego**, w Krakowie, która na żądanie przesyła cennik.

Medale Złote na Wystawach higienicznych

50% Oszczędności opatu

patent. MULTIPLIKATOR OGRZEWANIA usuwa wilgoć;
" PIECE ŻELAZNE MULTIPLIKATOROWE z nawilżaniem; 7897
" DRZWIČKI PIECOWE nierozpalające się;
" SZYBKONAGRZEWACZE wody do kąpieli.

Dr. W. P. KŁOBUKOWSKI, inż. Warszawa, Al. Jerozolimskie 71, tel. 15-02.

PURGYL

Syntetyczny środek czyszczący i rozwalniający. Pewnia działający i przyjemny w smaku.

DZIAŁA BEZ BOŁÓW

Najlepsze leczenie zaparcia chorób żołądka i cierpień wątroby
Działa przeciwnie w jelitach, zapobiega zapaleniu wyrostka robaczkowego i gorączkom zakaźnym.
Jest bardzo dobrze znoszony przez dzieci.
Sprzedaż we wszystkich aptekach.
PARYŻ — J. KOEHLY
74, Rue Radier

MAKA MLECZNA

MAGISTRA

KLAWE

Najodpowiedniejsza odżywka dla ssawców i słabowitych dzieci

Siedziba główna
Warszawa, Plac św. Aleksandra
70 Apteka Tel.

Zakład Ginekolog.-Akuszerjny

„HYGIENA”

Akuszerki **BORZOBHATEJ** Marszałkowska 25. — Tel. 139-21. Urządzenia najhigieniczniejsze. Ceny przystępne. Opieka lekarzy specjalistów. Porady od 3—6.

Na dogoonych warunkach!!!
Sprzedaję i kupuję brylanty, złoto, perły i kwity lomb. Płacę najwyższe ceny. Magazyn Jubilerski, **S. Jakowia**k, Marszałkowska 100.

NICEA, Pensjonat **Miramare**, 89, Promenade des Anglais, nad morzem, urządzony wytwornie, ceny umiarkowane. Porozumiewać się można po francusku, angielsku i niemiecku.

A. A. RZĄDCA ROLNY, teoretyczne przygotowanie, kilkunastoletnia praktyka, wyborna znajomość wszystkich działów gospodarstwa, bez kosztów pośrednictwa. „Promień” Marszałkowska 119, tel. 181-90.

Thiotimina

Aptekarza **J. HUMBLET** (w Noworadomsku, g. Piotrkowska).
Zatw. przez Urząd Lekarski Petersburg za № 6816.
Zalecany przez p. p. Lekarzy z niezawodnym skutkiem jako środek znakomity w przypadkach chorób dróg oddechowych jak: katar krtani, katar oskrzeli, katar płuca, kaszel. Pobudza łaknienie, wzmacnia organy trawienia, a tem samem przyczynia się do ogólnego polepszenia stanu chorego.
Sposób użycia przy każdym flakonie.
Żądać we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok V.

Warszawa, dnia 15 lutego 1913 roku.

№ 7.

Józef Weysenhoff.

Prawa przedruku i przekładu zastrzeżone
przez autora i wydawców.

GROMADA.

Powieść ziemiańska.

21

Gdy wyszli, Rykoń przeszedł przez sień i zajrzał do drugiej izby, gdzie Rykonina matka, brzydka dziewczka Anastazyja i drzemiaczy parobek Fudała zwijali nici na szpule. Cicho tam było i nie wesoło, tylko ład i dostatek, widoczne przy świetle dobrej lampy, napełniały izbę zadowolonym spokojem.

— Idźta już spać — rzekł Jan do służby.

Matkę zaś pocałował w rękę na dobranoc, a ona przemówiła, całując syna w głowę:

— I Jasieńko już legnie, co? niechta oczków se nie ślepi przy lampie, jak wczoraj —

— Tylko se doczytam gazetę, legnę, matulu.

Wrócił do izby, w której przed chwilą rozmawiał z sąsiadami; dymno w niej było od papierosów, więc okno otworzył i spojrzął w noc pochmurną. Różaniec światłych okien, czuwających przy ziemi, poprzerywał się już znacznie i gasł w oczach; wiało chłodem wilgotnym i osmętną ciszą.

Zamknął okno. Ogarnawszy wzrokiem pustą izbę, podumał przez chwilę nad swem życiem prawie zakonnem, które wypełniała całkiem robota, tylko robota — i przypomniał nagle Magdusię Olczakównę, jak ją trzymał w tańcu przyciśniętą krągłym gorsem do piersi, palącą oczyma, napraszającą się ust czerwona ponętą, na okrężnem w Sławoszewie — Wiedział, że wczoraj

wyjechała z państwem do Warszawy — żał go w serce zakłął, że ona już nie w sąsiedztwie, lecz daleko, między rozpustną ludnością wielkiego miasta, a słodka taka, jak plaster miodu, do którego wszystkie baki i trutnie się zlatują — — Mógłby ją tutaj mieć, w chacie rozweselonej, pełnej młodego szczebiotu — — pogodziłaby się z matką, której Jan do śmierci opuszczać nie chciał — i dobrą byłaby żoną a pomocną, bo nawet pisać umie pięknie i w listach mogłaby wyręczyć — byłaby naogół taka, jakaby ją Rykoń mieć chciał, bo potulna, choć piękna, i garnie się zdawna do niego.

Ale zakazał sobie ponownie tego rojenia, niby złej pokusy, westchnął krótko, potrząsnął czupryną, po lejbiku na żebrach mocno się chlasnął oburącz, jakby ręce, do ciagot ochocze, powstrzymywał — i usiadł przy stole pod lampą.

Miał Rykoń w tej izbie stół, przeznaczony do czytania i pisanja, na którym ostro zakazał gospodarować czeladzi. Leżały tu zebrane po porządku numerów trzy pisma peryodyczne, dwa warszawskie, jedno łowickie; był kałamarz, pióro, ołówek, papier i koperty; w szufladach zbiór listów otrzymanych, plany domu ludowego — cały aparat wiejskiego statysty. Było to ulubione miejsce Jana podczas samotnych wieczorów, czuł się tu obywatelem szerokiego kraju, którego

przeróżne sprawy przynosiły mu gazety; nieraz już i sam napisał do znajomych redakcyi zwięzłe uwagi albo zapytania. Niektóre z nich wydrukowano. — Otrzymywał często listy i nie od byle kogo: od wybitnych działaczy, od doktorów, od prezesów, ba, nawet od jednego posła polskiego z Petersburga. — Gmiiacy, zamiast pisać, woleli do niego przyjść, albo przyjechać, a nierzadko zjawiali się z dalekich stron. Na listy Jan odpisywał zawsze, prędzej czy później, a przychodzących po radę przyjmował uprzejmie, nie jak naczelnik albo znachor, lecz — jak brat. Chwalili go sobie ludzie, jako mądrą i setnego chłopca. Najmniejszy może mir miał w swojej wsi, w Mielnie, że to z panami zadużo majstrował i fizyk był nieprzenikniony.

I którzy tu byli dzisiaj, niby najlepsi przyjaciele, jak ciężko godzili się na projekty i namowy! A co i gadać o innych, zazdrośnych o swoje przewagę, jak wójt Damian Skierski, albo wręcz nieprzyjaznych, jak Goździk, Kołaczyński, Orlik, Maryniak, chłopcy oporne wszelkiej robocie łącznej z dworem! A o takim Smagale, nawet z innej gminy pochodzącym, który z profesorem Owocnym był w znowie i w jego zastępstwie przyjeżdżał do Mielna chłopom we łbach przewracać! Reszta gromady była ciężka, podejrzliwa, — tyle tylko, że na zebraniu gminnem szła za tym, kto najmocniej gardłował, a w tej sztuce Rykoń był majstrem nieprześcignionym. Przeprowadził więc uchwałę o domu ludowym mocą swego gadania i zabiegów — już się cegłę zwoziło na grunt przy gminie kupiony od Gładocha — ale po tem zwycięstwie nie nabrał zaufania do zbiorowego rozumu,

ani do samodzielności mielników; utwierdził się tylko w przekonaniu, że pchać ich trzeba przemocą ku ich własnemu pożytkowi.

Do wójtostwa w Mielnie też się nie kwapił — przybyłaby mu jeszcze walka z pisarzem gminnym i mozolna korespondencja z władzami — czuł się zato przełożonym nad znacznie większym okręgiem, zmówionym z potężnymi organizacjami, z wielką gromadą. Na wójta możeby go nawet nie zatwierdził gubernator, bo rodzina Rykoniów była „nieblahonadeżna“ od roku 1905, gdy się wszystkie z niej chłopcy postawiły twardo przy obronie polskiego języka w gminie. Brat Jana, Ambroży, odsiedział nawet za to dwa lata więzienia, przeznaczony przez nieboszczyka ojca na winowajcę w tym buncie, jako mniej zdolny i mniej potrzebny gromadzie, niż Jan. Chyrlał od tego czasu, ale się ożenił i miał swe gospodarstwo w Mielnie.

Jan Rykoń kochał swoją gromadę po męsku, bez rozrzewnienia, bez pobłażania wadom i opieśzałościom, kochał ją trochę tyranicznie.

Zapomina się o wsi w Warszawie tem łatwiej, im pora roku surowsza. Opuszczają człowieka nagle pragnienia dotknąć bezpośrednich do żywiołu pierwotnego, inaczej człowiek czuje i myśli, mądrzej i skuteczniej — zapewniają mieszczuchy, — powierzchowniej — twierdzą zagorzali wieśniacy. Ten, który po zbożach dojrzałych puszczał oko spokojnie szczęśliwe i podsłuchiwał, co kłosa szepczą o wieczystej harmonii i zgodzie; który wchodził między żrebce rozhulane na gródzi i skupiał do ręki ich oczy, rżące życiem, ich ciała gniade i kare, pachnące potem centaurów; który widywał, jak dzień gaśnie u siebie, na swoich włościach bezgranicznych; który zasypiał, jak dziecko, a budził się z ptakami o świcie — ten znalazł się dzisiaj w mieście, w hotelu.

Obudził się późno, bo poszedł spać po północy. Zechciał przez otwarte okno wpuścić do pokoju świeże powietrze, ale dostał w twarz zapachem węglanu cebuli, a po uszach turkotem kół tak przeraźliwym, jakby całe miasto zajeżdżało mu przed hotel. Zamknął okno. Już dziennik poranny przynosi ten zamęt wypadków, któremi ludzkość, stłoczona po miastach i stelegrafowana po świecie, zaprzęta sobie niespokojne głowy.

Oszołomiony wieśniak wchłania wiadomości krajowe, zagraniczne, teatralne, literackie, polityczne, osobiste — — wszystko to czytało się i na wsi, ale było niby powieścią o dalekich, niedościgłych stronach. Tutaj wypadki są dzisiejsze, osoby takie, z których niejedną można zaraz obejrzeć, do drugich łatwo dojechać. Ze steku bezładnych powiadomień pozostaje w głowie szum ogromnej zgiełkiwości spraw ludzkich, a zarazem przyzwyczajenie do powszędy panującego Grzechu. W wielkim mieście nie zdybać nigdzie cnoty, wszędzie gorączkę i zmaganie się ludzi między sobą, „rekord“, którego celem rozkosz, sława lub potęga. Ten dąży do bieguna ziemi, ten w niezwidzone wyżyny powietrza; ten legalnie wydiera bliźnim pieniądze, ów dla swych celów handluje ideami. Mężczyźni wyglądają na głodkich a przemysłnych zbójów, kobiety na głodne dreszczów i wydziwów nierządnic. Wszystko, co ludzie urządzili rzekomo dla dobra ogółu, od tronów do przytułków nocnych — tchnie obłudą haśle i prawdą żądy człowieczej — wszędzie stary Grzech tryumfalny na czele zabiegów ludzkich, pojedynczych i zbiorowych! — To w mieście. Ale na wsi są jeszcze wielkie pola niewinne, dworki i chaty, których gad jadem swym nie oślinił. Gdy się zaś sumiennie poszuka, wszędzie są jeszcze dobrzy ludzie.

Do takich należą ludzie z sercem wiejskim a z umysłem ciekawym, którzy, folgując obu tym instynktom, pół roku siedzą na wsi, pół w mieście, a z piekła miejskiego nie czerpią zgorszenia, lecz ostrzegający przykład. Do takich też należy pani Rozalia z Bronieckich Obichowska, stryjeczna siostra pana Józefa. Majętna wdowa, oprócz dóbr ziemskich, posiada w Warszawie dom, do którego powraca stale późną jesienią i zajmuje w nim całe drugie piętro od frontu, bardzo obszerne, zdolne do pomieszczenia licznych zebrań i rozszerzonego koła domowników, po wiejsku. Przy matce mieszka najstarsza córka, Zosia, równiecniczka Mańki Bronieckiej; młodszy synowie są w szkołach zagranicznych.

Ciocia Rozalka, u której Manieczka pozostaje już kilka tygodni, jest wcale pokaźną i miłą osobą, chociaż czarne jej włosy zaczęły już tracić połysk. Bujna krew Bronieckich utrzymuje jej

zdrową cerę i zalety towarzyskie, a ponieważ zarazem żywi zbytecznie jej cielesne wdzięki, ciocia szuka namiętnie ruchu i jeździ do Marienbadu, „aby nie ocieżeć“. Umie jednak nie być śmieszna w gustownie dobranych strojach i usposabiać do siebie przychylnie. Pan Józef lubi, w przypadku nagłych uczuć rodzinnych, objąć „siostrunię“ za kibić mocno pancerną i wrazić serdeczny pocałunek w loczek około uszka. Jako nieodrodna Broniecka, musi pani Rozalia gadać, słuchać, sprawiać bliźnim przyjemność, karmić ich i pić; skoro się tylko zjawia w Warszawie, salon jej przyciąga liczne koła uradowanych gości.

A jednak wiadomości publiczne, głośnie i szeptane, niewesołe były w tym roku. Uciskały wszystkich, jak więzy, osłabiały, jak choroba. — — Tylko dobrze było odpocząć od nich czasami w salonie pani Obichowskiej. Chociaż nie tańczono w nim, lecz ogrzewano się przy jego ciepłe wiejskim, żywym, zwłaszcza z powodu dwóch panien na wydaniu. Pani Rozalia miała i tę wyższość, oprócz wielu innych, nad pospolitemi matkami, że nie była zazdrośna o Mańkę, bogatszą od jej Zosi i bardziej pociągającą młodzież przez swój spryt przyjazny. Zosia była inna, brunetka, pogardliwa i wybredna, podobna do nieboszczyka ojca, Zbigniewa Obichowskiego, który poczuwał się do arystokracji z powodu starożytnego podania, że Obichowscy herbu Wieniawa byli jedni z królewskim rodem Leszczyńskich, tylko przez cały ciąg naszych dziejów oczekiwali na sposobność odznaczenia się. Więc w salonie pani Rozalii spotkać było można dużo karmazynowej szlachty, nierządki przeciągał hrabia, a comesów, których przodkowie za Piastów trzęśli krajem, było co niemiara. Spotykało się tam przecież i ludzi, którzy obecnie znaczą coś w kraju, oprócz cyfry swych fortun.

DCN.



Włodz. Perzyński. Zimowe wieczory.

Z wypisów szkolnych jeszcze pozostała mi w pamięci bajeczka o chłopczyku, który miał usposobienie entuzjastyczne i zmienne, co objawiało się mianowicie w ten sposób, że co kwartał wyrażał pragnienie, aby odpowiednia pora roku trwała wiecznie. O ile sobie dziś przypominam, dziecię owo najslabiej reagowało na uroki wiosny, czemu się nie dziwię, ile że właściwe zastosowanie wiosny rzadko uświadamiamy sobie przed jakimś piętnastym rokiem życia. Trzeba już na to być obeznanym z wzorami wielkiej poezji i mózdz, pod pretekstem dowiedzenia się od kolegi o lekcye, wychodzić samemu z domu. Ale to jest uwaga na stronie. Sens bajeczki owej był taki, że każda pora roku posiada specjalne swoje przyjemności, które należy umieć wykorzystywać.

Do specjalnych przyjemności zimowych należą długie wieczory. Co do mnie, przyznam się szczerze, że nie umiem sobie nawet zimy z krótkimi wieczorami wyobrazić. Kwestya pewnego nałogu — być może, ale i głębszego sentymentu. W długie wieczory zimowe rodziny zbierają się w stołowym pokoju, oświetlonym jasno płonąca lampą. Czyta się głośno, albo starsza siostra opowiada młodszemu rodzeństwu bajki... Na dworze śnieg, zawierucha, okna pokryte mrozem, ziiimno (przez kilkanaście i), ale to wszystko gdzieś daleko. Rzeczywistością jest czarowny świat bajki... Szczęśliwe chwile, gdy się tych bajek z zapartym oddechem słuchało.

Istnieje pewien tradycyjny typ zimowej bajki. Bohaterem jej jest zwykle dziadek, zbiedzony, wynędzniały, obdarty, który chodzi po prośbie od domu do domu i wszędzie bywa przepędzany. Lituje się nad nim dopiero jakiś nędzarcz i okazuje się wtedy, że dziadek wcale nie był dziadkiem, tylko dobrym duchem, który mistyfikował mieszkańców danego miasta czy wioski, aby się przekonać, czy są dobrzy. No, i nędzarcz, który złożył dowód instynktownej dobroci serca, bywa sownie wynagrodzony...

Pamiętam, że bajka taka, którą słyszałem w dzieciństwie, wywarła na mnie bardzo silne wrażenie. Nie miejsce tu może na zbyt pochlebne o sobie charakterystyki, ale wtrącając, że od najmłodszych lat byłem na piękno poezji wrażliwy i marzyłem o tem, by je urzeczywistnić w życiu. Złotówki więc, którem dostawał, by obejrzeć panoramę (kinematografów jeszcze nie było), chowałem skrzętnie, wypatrując po ulicach dziadków, którzy by mieli odpowiednio tajemniczy wygląd. Pierwszym warunkiem, ma się rozumieć, miała być długa siwa broda. No, i po otrzymaniu jałmużny dziadek powinien był

momentalnie zniknąć. Kilkakrotnie dałem się wzięść na lep owej brody, ale za każdym razem spotykało mnie rozczarowanie, gdyż dziadek nie znikał, a rachunki ze mną załatwiał doraźnie dość obojętnem nawet przeważnie podziękowaniem. Mimo to, nie traciłem nadziei (taki już jest serc młodocianych entuzjazyzm), że uda mi się prawdziwego dziadka spotkać, i aby być zawczasu na zmianę losu przygotowanym, wypatrywałem po wystawach sklepowych różne cenne przedmioty, jak to: niklowane łyżwy, rewolwer, scyzoryk o stu kilkudziesięciu ostrzach i t. d., które nęciły moją fantazyę.

Wielkim urokiem dzieciństwa jest to, że ma się przyjaciół wówczas, z którymi można szczerze i wspólnie marzyć. I ja z marzenia swego, które, jak to dziś widzę, było jedyną koncepcją finansową na szeroką skalę, jaką miałem w życiu — zwierzyłem się jednemu z przyjaciół. On powtórzył je siostrze. Ziarno poezji padło na wrażliwą duszę. Dziewczynka poczęła poszukiwać „dobrego ducha“.

I powiodło jej się. Pewnego razu ujrzała na ulicy poważnego starca w łachmanach z długą siwą brodą. Ani chwili nie można było się wahać. Podbiegła i gorączkowo wetknęła mu w rękę zaoszczędzonego rubla.

Dziadek znikł.

* * *

Napozór jest to nieprawdopodobnie fantastyczne, ale tłumaczy się prosto. Dziadek, oszołomiony nieoczekiwane hojnym datkiem, cofnął się tak nieopatrznie w tył, że wpadł w otwarty przez roztargnienie robotnika kanał od kanalizacyi, a dziewczynka ze strachu zwarowała. Morał płynie stąd taki, że niezawsze jest dobrze starać się wcielać poezję w życie.



Tadeusz Dąbrowski.

120,000,000 dolarów.

Siedzieliśmy we lwowskiej „Sztuce“ z pewnym młodym zanglizowanym mecenasem. Tłum, ścisk, opary potu, gwar rozmów ludzkich, podniecona atmosfera. Muzyka salonowa grała słodkie kawałki. Od czasu do czasu poczynało się „Sorrento“. Rozmowy milkły. Służący skręcał światło białych lampek elektrycznych, umieszczonych na kasetonowym suficie. Żarzył się tylko lubieżnym blaskiem skrajny rząd lampek czerwonych.

Zawsze „Sorrento“ i cisza, „Sorrento“ i skręcanie światła, „Sorrento“ i czerwony żar lampek. A potem oklaski.

Popijaliśmy czarną kawę i wieszaliśmy psy na nasze stosunki.

— Panie — mówił z nerwowym po-

śmiechem, zaciskając niekiedy binokle na spiczastym nosie, młody zanglizowany mecenas. — Czy widział pan kiedy większe niedołęstwo, niż u nas, większą niezdarność, niezardność?

Niech pan weźmie naszych literatów. Żaden z nich nic nie umie. Żaden nie zna faktycznych stosunków, praktycznego życia. U nas w literaturze filozofuje się od biedy lub psychologizuje. Koniecznie psychologia, coraz subtelniejsze odcienie, mikrotamia psychologiczna! Powiedzmy poprostu: błaga psychologiczna. Te wszystkie stany, które pan w dzisiejszej literaturze znajduje, u Struga, u Żeromskiego nawet, są nieprawdziwe, nieumiejętne opisywane. Abstrakcje zastępują tam co chwila stany konkretne.

Ale czego się pan nauczy z tej literatury? Nic zgoła. Życie pozostaje panu taksamo nieznaną, jak przed czytaniem tych utworów.

Jakże inaczej jest w Ameryce! Tam niema zawodowych literatów, którzy się uczyli specjalnie na literatów, przechodzili studia gimnazyjalne, później na uniwersytecie zajmowali się historią literatury. Tam niema kultu dla nazwisk uznanych. Do literatury przechodzi się wprost z życia.

Każdy amerykańczyk chętnie czyta utwory beletrystyczne, zwłaszcza krótkie nowelki, obrazki. Amerykanie wogóle mają mało czasu i wyzyskują go tylko dla interesów. Ale z nowel dowiaduje się amerykańczyk o stosunkach społecznych, o różnych rodzajach wytwórczości i sposobach wytwarzania, o różnych typach ludzi, z poszczególnymi gałęziami produkcyi związanych, o nieznanym mu miastach, krajach, manierach życia. Literatura służy tam nie tylko do zaspokojenia ciekawości, ale do orientacyi życiowej. To jest narzędzie w zdobywaniu świata.

Wytworzył się w Ameryce nawet osobny typ czasopism, miesięczników czy dwutygodników. Magazyny te redagowane są nadzwyczajnie żywo, zajmująco, ogarniają wszystkie dziedziny, które człowieka praktycznego mogą zainteresować. Ilustrowane są przez wybornych rysowników i karykaturzystów. Proszę, niechaj pan obejrzy sam (pokażał mi kilka nowych zeszytów, świeżo zakupionych). I redakcyje płacą znakomicie, bajeczne wprost sumy, jak na nasze stosunki. Im jest wszystko jedno, komu płacą, byleby artykuł był dobry. To nie jest żadna dobroczynność, jak u nas. To jest tylko wzajemny, dobrze zrozumiany interes.

To też tam wyrastają nagle, niespodzianie wyborni realiści. Każdy pisze o tem, w czym sam pracował, co zna z autopsyi. Wydano np. niedawno tom, zawierający sto nowel z życia wewnętrznego jednego z największych magazynów towarowych w Nowym Jorku. Rzeczy wprost doskonałe. Małe arcydziełka.

— Proszę jeszcze herbaty z rumem! — młody mecenas zapalał się coraz bardziej.

A co za pomysłowość, jakie kapitalne wynalazki, nie ma pan wyobrażenia! Czytam np. teraz w jednym z magazynów powieść, zatytułowaną „Sto dwadzieścia milionów dolarów“. Akcja bardzo prosta. Zakochana para. Jej ojciec koniecznie wydać ją chce za bogatego przemysłowca, który ma sto dwadzieścia milionów dolarów majątku. O wydaniu jej za ubogiego młodzieńca, w którym się kocha, ojciec ani słyszeć nie chce. Młodzieniec staje wobec dylematu: albo ją postradać, albo zdobyć sto dwadzieścia milionów dolarów. I to ma się dokonać

w przeciągu stu dwudziestu godzin, które pozostają do jej ślubu. Jedna godzina — jeden milion. Co za spryt wysła ten młody człowiek na zdobycie pieniędzy! I zdobywał! Jestem właśnie przy siedemdziesiątej godzinie. Jeszcze pięćdziesiąt godzin — pięćdziesiąt milionów. Płonę wprost z ciekawości, na jakie nowe sposoby zdobędzie się ten człowiek. Siedemdziesiąt różnych sposobów już przeszedł. Niech pan pomyśli tylko: każda godzina — milion dolarów!

Północ już biła. Po raz, nie wiem już który, muzyka grała słodko „Sorrento“, światła gasły, milkły gwary. Siedzieliśmy już trzecią godzinę w kawiarni, popijając herbatę z koniakiem. Oczy mi się jarzyły z zapалу. A młody, zanglizowany mecenas, obnoszący się z plikiem amerykańskich magazynów, ciągle opowiadał mi nerwowo, zaciskając binokle na śpiczastym nosie, jak to się w Ameryce zdobywa w jednej godzinie jeden milion dolarów (—na papierze!).

Gerald Villers-Stuart.

Tłomaczyła Zofia Hartingh.

TRAGEDYA DUCHA.

3

Wiedziała, że umiera, i myśl ta napelniła ją błogością. Kobieta o drobnych, okrutnych rysach nie posiadzie go nigdy... Dotąd należał on do niej wyłącznie... z nią wibrował w doskonałej harmonii, lekko tylko zakłóconej ostatnimi czasami. Teraz dopiero zrozumiała, dlaczego zakwiefiona postać powiedziała jej: „Możesz wkrótce być wolną...“, ale nie pojmowała jeszcze, dlaczego kobieta na krzyżu umarła.

Lecz z radością przyszło opamiętanie. Może było samolubnym to życzenie, aby Henryk umarł; a tam, gdzie chodziło o niego, czyż godziło się myśleć o sobie? To, czego on pragnął, mogło być zgubnym dla niego; a jednak instynktowny odruch, który skłania tkliwą matkę do dogodzenia chwilowej zachciance dziecka, choćby kosztem dobra jego w przyszłości, sprawił, że Alicya zaczęła się zastanawiać, czyby nie mogła wysiłkiem go ocalić. Całą istotą swoją pożądał on tej drugiej kobiety... więc zapragnęła mu dogodzić, jak biednemu, choremu dziecku, którego zechcenia stają się rozkazem. Nie wiedziała jednak, czy w mocy jej jest zrobić cośkolwiek, i postanowiła zapytać tajemniczej postaci, stojącej u bramy.

Stała u wejścia skalistego, niebotycznego wąwozu, prowadzącego do krainy fiołkowych mroków, i jęła wstawiać się za Henrykiem.

— On taki młody... i jego... dzieło... nasze wspólne dzieło, nie skończone jeszcze. Jest w przededniu swego małżeństwa... Nie mogę znieść jego męki...

— Dasz mu zapomnienie przeszłości... Czyż twoje jezioro nie jest pięknym?

— To raj! —

— Raj, który możesz dzielić z nim razem.

— On tego nie chce... On pragnie... tej drugiej kobiety!...

— To prawda — odparł smutny szept litości.

— Ja mu nigdy niczego nie odmawiałam... Mogę zaczekać na niego... Kiedyś zataśkni znów za mną. Kiedy nasze dzieło zostanie ukończonym... kiedy... O! powiedz mi, czy nie mogę wyblagać mu choćby

jednego roku życia? Czy nie mogę go ratować?!...

— Tylko ty jedna możesz go uratować... — odparł głos bardzo smutnie.

— Więc mów... co mam zrobić?... Mów!... nalegała. Gotowa jestem wszystko uczynić!

— Musisz wszystko oddać...

— Oddałabym świat cały dla niego!...

— To zamało... Musisz oddać samą siebie... Człowiek jest, jak ten knot od lampy, przez który fluid przepływa. Płomień jest życiem. Kiedy knot jest zatkany, płyn przestaje wędzić i przenosi się na inny jakiś świecznik.

— Powiedz mi, co mam robić, aby go ocalić?

— Wibrujesz w doskonałej harmonii z całym organizmem tego człowieka. Tam, gdzie inne siły nie mogą osiągnąć, ty możesz przeniknąć. Możesz stać się oliwą, zasycającą płomień jego życia. Gdy zaporą zostanie usunięta, fluid zacznie nanowyo przepływać.

— Ale w takim razie zostanę spalona... zniszczoną doszczętnie?!...

— Jak ofiara na stosie.

— I nigdy już nie ujrzę mego jeziora?... nigdy nie podzielę z *nim* razem rozkoszy lazurów toni?!...

— Nigdy!... Przestanieś istnieć...

— I on... on nigdy nie dowie się... co poświęciłam dla niego?...

— Nigdy...

— To straszliwy okup!...

— Ofiara musi być zupełną.

— Gdybyż on choć mógł wiedzieć!... gdyby...

— Nie dowie się nigdy...

— I pomyśli, że to ona.. że to ta druga kobieta dała mu wszystko!...

— Ofiara musi być zupełną.

— Czyż nie ma innego sposobu?! — buchnęło ogromem bólu z jej piersi.

— Może umrzeć.—

— Ale dzieło... nasze wspólne dzieło, w które włożyliśmy całe życie nasze, jest jeszcze nie skończone...

— Masz wolny wybór... Jest tylko jeden okup, i ty jedna dać go możesz.

— Gdyby on mógł choć wie-

dzieć!... Musi przecież istnieć jakaś nagroda...

— Jest zapomnienie i spokój...

—Więc wszystko idzie na marne... wszystko roztopia się w nicności?!... szepnęła boleśnie.

— Nie; bo pierwiastek nieśmiertelnego piękna przydanym zostanie wszechświatowi. — Wszystko to, co piękne i doskonałe, powstaje z jakiejś zagłady i zniszczenia. Niema nigdy próżnej ofiary.

— Musiałabym więc spłonąć i zniknąć doszczętnie w całopalnej ofierze dla Henryka?

— Ofiara musi być zupełną.

— I jak... jak to mam uczynić? mów!... tchem drgnęło w powietrzu.

— Potrzebujesz tylko silnie chcieć... zaszumił smutny głos z ogromnej, zwiększającej się ciągle od dali.

Alicya spostrzegła, że była sama. Weszła do wąwozu.

A teraz, gdy szła ku ukochanemu, z ostatnim darem w rękę, zrozumiała znaczenie podruzgotanych przedmiotów, jakie napotykała po drodze. Były to wszystko szczątki ziemskiego szczęścia, zniszczone, aby wytworzyć większe, doskonalsze, nieśmiertelne piękno; a w tajemniczym, błękitnawym świetle nadświatów przybierały one lśniący urok barwnych skrzydeł przelatujących rajskich ptaków. A twarz Alicyi, wstępującej w czarną czeluść wąwozu, z ofiarnym piętnem na czole, promieniała takim ekstatycznym blaskiem piękna, że niewidzialny korowód duchów zatrzymał się w swoim pochodzie, spoglądając na nią w milczącym, zachwyconym podziwieniu, a gdy stanęła pod krzyżem, spostrzegła, że umęczonej postaci kobiecej już tam nie było.

Doktor odstąpił od łóżka Henryka.

— Siły żywotne są zupełnie wyczerpane — zawyrokował. Niema już żadnej nadziei.

Szepnął coś na ucho dozorczyńi i chciał odejść, ale kobieta z seansów zastąpiła mu błagalnie drogę u drzwi.

— O! ratuj go, doktorze!.. prosiła, łkając rozpacznie. Ratuj go dla mnie!...

— Tylko cud może go ocalić, a cud nie jest w mojej mocy. Muszę odejść, bo mnie potrzebują inni pacjenci. Wierz mi pani, gdyby był cień nadziei, zostałbym... Dałem potrzebne zlecenia dozorczyńi.

Ostatki tlejącej żywotności Henryka zredukowane były do kilku słów, które wirowały w jego spalonym gorączką mózgu, które bełkotał bezustannie: „Jezioro świtu... nasze jezioro!...“

Nie rozumiał znaczenia tych słów, które palec medyum starł był niegdyś pospiesznie z tablicy, a które niemniej wyrwały się nazawsze niewidzialnym piętnem w jego mózgu. O czy jego, rozwarłe szeroko, wpatrywały się w jakąś niezmierną przestrzeń, która byłaby zupełnie pusta,

gdyby nie płynęła nad nią jedna samotna, wirująca, jasna gwiazda...

— Jezioro świtu, jezioro świtu!.. powtarzały blade usta... a gwiazda stawała się coraz mniejszą i bardziej oddaloną na firmamencie, aż zmalowała do jednego świetlanego punkciku. Wkrótce zostanie zupełnie samotnym w tych bezbrzeżnych, strasznych przestworzach...

— Jezioro... jakie jezioro?!... szeptały spalone usta.

Wychudłe palce umierającego zaczęły targać kurczowo atlasową koldrę; naraz, jakby ostatecznym wysiłkiem, zaniechał daremno dociekania i skupił się cały w sobie, aby oprzeć się rozpaczliwie jakiejś straszliwej sile, która zdawała się wysysać go w siebie i wciągać gdzieś... w przestrzeń...

— Alicyo! — krzykiem wyrwało się z charczącej, zdyszanej piersi, uciśnionej śmiertelną trwogą.—Alicyo! ratuj!...

Dozorczyńni pochyliła się nad konającym i pokiwała głową.

Gwiazda na firmamencie przestała wirować, a Henryk spostrzegł wtedy dopiero, że to, co brał za gwiazdę, była to postać kobieca, przybita do krzyża, i że tą kobietą była Alicya,

która oderwała się od narzędzia męki, aby z nieskończonych przestrzeni zaświatów spłynąć w jego ramiona, na jedną błyskawiczną chwilę niebiańskiej, nie wysłowionej ludzkim językiem rozkoszy, w której uczył cały ogrom miłości jej i straty, jaką poniósł. Ramiona jego wyciągnęły się w próżnię za marą minionego szczęścia, a wzrok, oprzytomniały nagle, utkwiał przez okno w jasno płonąca na niebie gwiazdę, która cicho spływać zaczęła z ciemnych lazurów, zacierając ślad świetlisty za sobą i malejąc coraz bardziej, i bardziej... aż zgasła w ciemnościach nocy, jak wypalona iskra.

Dozorczyńni pochyliła się nad chorym, aby się przekonać, czy serce już przestało bić. Naraz rzuciła się w tył zdziwiona.

— Przedziej! zawołała na drugą kobietę. Przywołaj, pani, z powrotem doktora... Tu zaszło coś nadzwyczajnego... Nie rozumiem...

— Będzie żył — oznajmił doktor drugiej kobiecie... ale wierz mi, pani, niema w tem mojej zasługi. Tylko jak powiedziałem, jakiś cud mógł go ocalić, a cud ten nie jest moją zasługą.

KONIEC.

E. M. Dell.

SZLAKIEM ORŁA.

Przekład z angielskiego H. J. P.

7

VII.

Przez większą część nocy szli niezmordowanie ku południowi. Nick oryentował się gwiazdami, przeważnie jednak polegał na własnym instynkcie rozpoznawania miejscowości, który zdawał się grać u niego rolę szóstego zmysłu.

Ręka w rękę, przebywali skaliste wyniosłości, głębokie wąwozy i strome ścieżki. Czasem, w odległości, jakieś mroczne postacie poruszały się tajemniczo; nikt ich jednak nie zaczepiał, ani nie badał. I tak, ze skały na skałę, przeszli wskroś wrogiego kraju swobodnie i niepoznani. Czasem Nick ścisnął rękę rewolweru pod fałdami przebrania, gotów w każdej chwili dotrzymać słowa, danego ojcu dziewczęcia, gdyby mieli wpaść w ręce nieprzyjaciół, i za każdym razem, gdy niebezpieczeństwo minęło, przyciągał Muriel bliżej do siebie i przyspieszał kroku.

Ona z początku szła dość raźnie, rada, że nareszcie wyrwała się z tego okropnego wąwozu, wkrótce jednak poczęła ustawać. Była wycieńczona obłądzeniem i przebytymi wstrząśnieniami bardziej, niż jej się zdawało.

Nie poddawała się jednak; szła mężnie, bez słowa skargi,

krzepiąc się instynktownie pragnieniem ucieczki. Gdy jednak potknęła się raz i drugi, Nick przystanął i dał jej napić się kilka łyków prostej wódki. To wzmocniło ją trochę, lecz oboje widzieli, że siły opuszczały ją szybko. I znowu Nick przystanął i wziął ją na rękę. Chciała się sprzeciwić, lecz nie zważał na to. Jego stalowe ramiona uniosły ją i szedł tak z tym ciężarem po skalistym gruncie szybko i sprężysto, jak górski kozioł, aż znalazł bezpieczne, jak mu się wydało, schronienie w kępie karłowatych drzewek.

Gdy słońce weszło, w dolinie pod nimi ukazała się wioska krajowa, stojąca pośród pól ryżu i bawełny.

— Trzeba mi iść na zwiady — rzekł Nick.

Ale nerwy biednej Muriel odmówiły jej tu posłuszeństwa. Uczepiła się go konwulsyjnie, zaklinając, aby nie odchodził.

— Nie opuszczaj mnie! Nie opuszczaj! — powtarzała z uporem. — Jeżeli pójdziesz, i ja pójdę także! Za nic, za nic nie zostanę tu sama!

Ustąpił natychmiast, widząc, że była prawie bliską obłądzenia i że nie było sposobu zostawić ją w tym stanie. Usiadł więc przy niej, dogadzając jej, jak mógł, i wkrótce

usnęła z głową na jego ramieniu. Było to jednak tylko drzemanie, z którego obudziła się wnet, krzyżąc, że mordują człowieka, i błagając Nicka, aby go ratował.

Dużo czasu minęło, nim zdołał ją uspokoić; lkała wciąż spazmatycznie, przytulona do niego. W ciągu dnia dostała silnej gorączki; dopiero nad wieczorem zapadła w stan odrętwienia.

Na to tylko Nick czekał. Ułożywszy ją pod osłoną drzew, zbiegł szybko w dolinę i bez wahania zapaścił się w głąb wioski, nasunawszy *czudach* na twarz i trzymając rękę na trzonku krajowego sztyletu, ukrytego w zanadrzu.

Kilkunastu mężczyzn siedziało dokoła ogniska. Minał ich, jak cień, przesunawszy się przez krąg świetlny, a gdy się obejrzeli, zniknął już za gliniastą ścianą jednej z lepianek.

Instynktem wiedziony, wpadł do tej lepianki. Nie zwrócił uwagi na kobietę, leżącą w sznurowym hamaku z dzieckiem u piersi, choć ta zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć na jego widok. I w mgnieniu oka znalazł, o co mu chodziło. Gliniana miska stała na błotnistej podłodze. Chwycił ją, rozlewając mleko na wszystkie strony, położył chuda, żółtą rękę na ustach, nakazując kobiecie milczenie, i zniknął.

We wsi powstało zamieszanie; w pierwszej chwili chciano puścić się za nim w pogoń, lecz on wnet zniknął im z oczu w ciemnościach; oni zaś wrócili do ogniska, pocieszając się myślą, że to był niewątpliwie święty człowiek i że te jego odwiedziny sprowadzą na nich błogosławieństwo.

A tymczasem Nick klęczał przy Muriel, podtrzymując ją, gdy piła. Ten nieoczekiwany posiłek skrzepił ją ogromnie. Przyszła do siebie i podziękowała mu.

— Ale i ty się napijesz trochę — rzekła prosząco.

I Nick napił się uradowany. Ten łyk mleka smakował mu lepiej, niż najwytworniejsze wino.

Usiadł potem przy niej, myśląc, że zaśnie, lecz ona po chwili położyła mu drżącą rączkę na ramieniu.

Pochylił się nad nią szybko.

— Co ci jest! Powiedz, czem ci mogę usłużyć?

Nie unikała już jego dotknięcia. W głębokim cieniu, padającym od drzew, oblanym księżycem, widział niewyraźnie jej bladą twarzyczkę.

— Chcę ci powiedzieć, Nicku — wymówiła cicho, — że będziesz musiał iść dalej bezemnie. I nie będziesz potrzebował troszczyć się, że mnie zostawisz. Umrę tej nocy. Nie lękam się. Owszem; chcę tego. Jestem taka zmęczona, taka zmęczona!

Umilkła wyczerpana.

Nick pochylił się nad nią. Zrazu nic nie rzekł. Wziął tylko jej bezwładną rączkę, spoczywającą na jego ramieniu, poniósł ją do ust i chuchał czas jakiś na chłodne paluszki dziewczyny. Gdy wreszcie przemówił, głos jego był nieskończenie tkliwy, lecz mimo to stanowczy.

— Kochanie moje — rzekł, — należysz teraz do mnie. Oddano mi cię pod opiekę i nie rozstanę się z tobą.

Nie cofnęła ręki i nie rzekła nic, ale milczenie jej nie było milczeniem przyzwolenia. Gdy wreszcie po długiej chwili przemówiła znowu, głos jej miał dziwnie żalodne brzmienie:

— Dlaczego nie dajesz mi umrzeć? Ja chcę umrzeć! Dlaczego mnie tu trzymasz?

— Dlaczego? — odparł Nick szybko. — Czy naprawdę chcesz, abym ci powiedział, dlaczego?

Lecz tu powściągnął się nagle i łagodnie zdjął jej rączkę ze swego ramienia.

— Dowiesz się kiedyś, Muriel — rzekł. — Tymczasem musisz mi wierzyć na słowo, że mam po temu bardzo dobry powód.

Było coś w jego głosie, co stanowiło dziwną sprzeczność z powściągliwością tych słów. Ale Muriel była zbyt słabą, aby to zauważyć. Odwróciła twarzyczkę, jak zadane dziecko.

— Poco miałabym żyć — jęknęła. — Nikomu już nie jestem potrzebna na świecie.

— To nie stanie się prawdą, dopóki ja żyć będę — odparł Nick, tonem człowieka, który składa jakąś przysięgę.

Ale i teraz Muriel nie zwróciła na to uwagi. Wycierpiała zbyt wiele, by ją mogły pocieszyć obietnice. Zresztą, nie żądała pociechy. Pragnęła tylko zamknąć oczy i umrzeć.

I gdy po pewnym czasie podniósł ją dla udania się w dalszą drogę, zaczęła płakać i błagać, aby ją zostawił. Nie chciał o tem słyszeć. Wiedział, iż niebezpiecznie było przebywać w tak blizkiem sąsiedztwie wioski; i niósł ją godziny całe z nadludzką niemal siłą, aż gdy już się zaczęło rozwidniać,

znalazł schronienie w zagłębieniu na zboczu góry, z której odsłaniał się widok na krętą, opustoszałą drożynę.

Muriel była wyczerpaną do ostateczności. Nick wlał jej w usta trochę wódki, sam nie tknąwszy ani kropli, ale i to niewiele już pomogło.

Przez cały dzień drzemała i budziła się naprzemiennie, to bredząc, to płacząc, to próbując się modlić.

A on siedział przy niej, nie odstępując jej na krok. Raz po raz brał ją w objęcia, bo wydawała się w nich spokojniejszą; i bez przerwy wyteżał wzrok w góry, śląc go po tej krętej, w dal biegnącej drożynie i wypatrując tego ratunku, który, jeśli miał przyjść wogóle, musiał przyjść tędy.

Twarz miał zapadłą i pooraną w tysiące zmarszczek; ale oczy świeciły mu niezwykłym blaskiem. Oczy te robiły takie wrażenie, jakby już lata całe nie spały, jakby już nigdy nie było im sądzone usnąć. Bo i jego siły były już na wyczerpaniu. Wiedział o tem, ale postanowił umrzeć, czuwając.

Gdy słońce zasunęło się za góry, przeobrażając ich szczyty w złocisto-różane kopuły, oderwał od nich wzrok i spojrzał na bledziutką twarzyczkę, spoczywającą na jego ręku. Muriel miała oczy zamknięte i nieopisany spokój śmierci powlekał jej rysy. Leżała już w ten sposób czas dłuższy, a jemu zdawała się, że śpi.

I nagle ogarnął go okrutny, szalony lęk. Trzęsąciami się po raz pierwszy rękoma porwał flaszkę i przytknął ją do jej ust. Gdy palący płyn zwilżył jej blade wargi, powieki jej zadrgały i Nick wydał przeciągłe westchnienie ulgi. Muriel otwarła z wolna oczy. Nie było już w nich dawnego wyrazu trwogi i wstrętu; przeciwnie, zdawały się uśmiechać.

Leciutko zwróciła ku niemu twarzyczkę, tuląc się dziecinnym ruchem do jego piersi. A przecież, choć leżała tak w jego objęciach, czuł dotkliwie, gorzko, jak bardzo była od niego daleką.

Pochylił się nad nią, krzepiąc się rozpaczliwie, nie wając się przemówić słowa, by nie zmącić tego boskiego spokoju, który zdawał się brać ją w posiadanie.

Glorya zachodu dosięgła swojej pełni. Przez kilka chwil otaczające ich zręby zapłonęły, niby rajskie wierzeje. I nagle, w tem

uroczystem milczeniu ozwał się głos Muriel:

— Widzisz ich? — rzekła.

Spostrzegł, że oczy miała zwrócone ku górom. Dziwny blask opromienił jej twarz.

— Co, kochanie? — zapytał miękko.

Popatrzyła na niego, jakby nie pojmując.

— Jakie to dziwne — wyrzekła z wolna. — Myślałam, że to — orzeł!

Było coś takiego już zaziemskiego w jej głosie, że sercem Nicka szarpnął straszliwy ból.

— To ja, Nick — wymówił z naciskiem. — To ja — znasz mnie przecież.

Ale oczy jej patrzyły znów gdzieś w dal.

— Nick? — powtórzyła pytająco. — Nick? Ale tamto—tamto — to był orzeł.

Leciała mu przez ręce, a on nie próbował już nawet podtrzymać jej. Okropne łkanie wydarło mu się z piersi, i w jednej chwili, jak rzeka, zrywająca tamy, rozpacza jego buchnęła w namiętnych słowach.

— Muriel! — wołał z uniesieniem. — Muriel! Zostań ze mną! Spójrz na mnie! Kochaj mnie! Tam w górach nic niema. Tu... tu przy tobie jest wszystko. O! Boże! — począł modlić się urywanym głosem. — Ona mnie nie rozumie! O, Boże! spraw, żeby mnie zrozumiała! Spraw, niech otworzy oczy, niech patrzy!

Zdawało się, że ogrom jego bólu dosięgnął ją, wzruszył i przytrzymał chwilowo na progu wieczności. Z wolna zwróciła oczy na jego wymęczoną twarz.

— Ależ, Nicku — rzekła łagodnie — ja widzę!

Pochylił się nad nią.

— Widzisz? — zapytał zdławionym głosem. — Widzisz?

Popatrzyła na niego, jakby dziwiąc się czemuś. Oczy jej mrużyły się, niby oczy sennego dziecka. Podniosła z lekka rękę i wskazała ją przed siebie.

— Tam—wymówiła z trudnością. — Nie widzisz ich? Więc może to był sen, albo... nawet złudzenie. Nie pamiętasz, jak to było? Patrz! góry pełne były koni i — wozów — ognistych! To Bóg je zsyła!

Umilkła. Główka jej opadła na pierś Nicka. Westchnęła leciutko i zdawało się, że usypia.

A Nick, zwróciwszy swe umęczone oczy w kierunku, jaki mu wskazała, doznał olśnienia.

Czy i on snił także? Czy był igraszką rozgorączkowanej wyobraźni? Tam, u swych stóp, w odległości kilkudziesięciu kroków od miejsca, gdzie siedział, zobaczył ludzi, konie, broń, wszystko to ciągnące się długą, krętą linią, jak daleko mógł okiem sięgnąć.

Szum napełnił mu uszy i własny głos, wołający ze wszystkich sił raz — drugi — i trzeci.

Nagle, coś jakby mu pękło w głowie. Pociemniałe szczyty zakolysały się przed jego oczyma i runęły gdzieś w przepaść bez dźwięku.

Ostatnia rzecz, jaką usłyszał, był odgłos trąbki wojskowej, który rozległ mu się w uszach, niby brzęczenie komara.

I Nick roześmiał się głośno, że taki drobny owad mógł go tak w błąd wprowadzić.

DCN.



Wiadomości literackie.

Z literatury francuskiej.

× *Roman Rolland*. „*La nouvelle journée*”. („*Nowy dzień*”). Wbrew temu tytułowi, dziesiąty i ostatni romans z serii „*Jana Krzysztofa*”, szeregu powieści, którymi autor zdobył taką rozgłosną sławę — tchnie przeważnie pesymizmem. Genialny muzyk niemiecki bowiem, któremu p. Rolland dał pewne rysy Beethovena, nie doczekał tego „nowego dnia”, przepowiada go tylko, bo czuje, że się przeżył i nie może dostroić się do ludzi współczesnych. Po latach dwudziestu odnajduje w Paryżu syna swego najlepszego przyjaciela, jako płytkiego sportsmena, który uległ modnemu prądowi rojalistycznemu po czterdziestu latach republiki. Jakkolwiek Jan Krzysztof potępia jego postępowanie, niemniej używa całego swojego wpływu, by osieroconą córkę swojej najlepszej przyjaciółki połączyć węzłem małżeńskim z zarozumiałym, pustym światowcem — albowiem przyszłość należy do młodych. Niebawem po tem wątpliwem uszcześliwieniu młodej pary, bohater umiera na uwiad starczy. Na taki banalny koniec Jan Krzysztof czterech pierwszych tomów nie zasłużył stanowczo.

× *Karol Henryk Hirsch*. „*Le sang de Paris*”. („*Krew Paryża*”). Tytuł powieści niniejszej jest nietylko dwuznaczny, ale można mu nadać różne nawet znaczenia. „*Krew paryska* płynie w tej bohaterskiej dziewczynie” — brzmi *mot*to na tytule, a dotyczy ono trzynastole-

tniej córki rzeźnika paryskiego, która, po nagłej śmierci matki, musi prowadzić gospodarstwo dla ojca i trojga rodzeństwa. Romans ten jest jeszcze i dlatego „*epopeją krwi*”, gdyż treść jego niejednokrotnie rozgrywa się w wielkiej rzeźni paryskiej w Villette, gdzie dzielny ojciec bohaterki codziennie zabija sześćdziesiąt sztuk nierogacizny. Polityka niemałą odgrywa rolę w powieści, albowiem propaganda rojalistyczna nigdzie nie jest prowadzona z takim zapałem, jak w owej dzielnicy rzeźniczej. Ma też w „*Krwi Paryża*” i półświatek swojej przedstawicielkę w ciotce małej bohaterki. „*Gwiazda*” półświatka bierze do siebie najmłodszą siostrzenicę na wychowanie, a, zgodnie z obyczajami dzisiejszymi, nikt się tem nie gorszy. Różnorodnych zapatrywań i sfer ludzkie p. Hirscha spotykają się w końcu, złączeni podziwem dla lotnika. Zarówno tematem, jak i objętością, przypomina „*Krew Paryża*” społeczne powieści Zoli, nie dorównując im jednak siłą ani połotem. Niemniej powieść nie jest bez wartości.

× *Jerzy Ohnet*. „*Le revenant*”. („*Duch*”). Wytrawny pisarz, niegdyś ulubieniec burżuazyi francuskiej, obrał za bohatera najnowszej książki szlachetnego arystokratę. Książę, bezczelnie zdradzony przez niewierną żonę, wywedrował do Ameryki i powraca przedzierzgnięty w wiejskiego filozofa pod fałszywym nazwiskiem. Jako dobrotliwy „*duch*” ratuje własną córkę nietylko od wściekłości rozjuszonego byka, ale i od haniebnego małżeństwa, do którego matka chce ją zmusić. W końcu jednakże książę przebacza grzesznicy — przywiózł z Ameryki tyle milionów, że może niemi zagoić wszystkie rany. Powieść czyta się łatwo, a czytelnik ma wrażenie, że autor podziwia wszystkie swoje typy, nawet złą księżnę, za ich wytworne obejście.

Z literatury amerykańskiej.

× *Jakób Oppenheim*. „*The Olympian*”. („*Olimpijczycy*”). Autor skreślił w tej książce dzieje typowego amerykańczaka, który z reportera pisma codziennego staje się miliarderem, typu Rockefeller'a i Carnegie'go. Z kilku dolarami w kieszeni, gnany bezgraniczną ambicją, pewny siebie, przybywa Kirby Trask do Nowego Jorku, z zamiarem zdobycia świata. Zrazu wir wrażeń olbrzymiego miasta porywa niedoświadczonego młodzieńca. Widzi on zdaleka bajeczne bogactwo, przeżywa straszne dni nędzy, rozpacz, z powodu braku zajęcia, styka się z występniemi nałogami warstw najniższych. Stopniowo jednak wznosi się coraz wyżej po zawrotnej drodze grzechu, porażek, ciężko wywalczonych zwycięstw, szczęśliwego przypadku, wielkiej zbawczej miłości. — Młody autor złożył dowody niepospolitej inteligencji i siły twórczej w odtwarzaniu współczesnego życia amerykańskiego; brak mu jeszcze jednak poczucia stylu, kultury formy, grzeszy nadmierną retoryką sentymentalną, stanowiącą błąd narodowy pisarzy amerykańskich, wśród których p. Oppenheim należy niewątpliwie do najzdolniejszych.

× *Dorota Cantfield*. „*The squirrel's care*”. („*Klatka wiewiórki*”). Książka niniejsza stanowi protest przeciw obniżaniu kobiety do stanowiska lalki dekoracyjnej, przeciw niweczeniu duchowego współżycia małżonków automatycznym pędem handlowym męża. Zajmująca powieść stanowi dowód, że kobieta amerykańska, wbrew mniemaniu w starym

świecie rozpowszechnionemu, bynajmniej jeszcze nie zdobyła tego stanowiska, jakiego jej kobiety europejskie, nieświadome rzeczy, zazdroszą.

× *Albert Eduards*. „*A man's world*”. („*Świat mężczyzny*”). Autor jest zupełnym „*homo novus*” w literaturze amerykańskiej, a ta pierwsza powieść, do której zaczerpnął treści z życia nowojorskiego, odrazu zwróciła nań uwagę. P. Eduards oświetla w niej bowiem śmiało a umiejętnie wielkomięskie zagadnienia społeczne. Nędza, prostytutcy, system policyjny mają w autorze utalentowanego i odważnego historyka.

× *Marya E. Wilkins Freeman*. „*The Yates pride*”. („*Duma rodzinna Yate'ów*”). Są to dzieje miłości, która zrazu doznaje porażki, z powodu niezrozumianej przez rozkochanego młodzieńca dumy ukochanej dziewczyny. Po latach następuje wyjaśnienie. Autorka śmiało rysami skreśliła powściągliwość, głębokie uczucie, siłę rezygnacji charakteru purytańskiego, w typowym otoczeniu cichej wsi stworzyła konkretny obraz życiowy.

TREŚĆ № 7.

Gromada. *Józef Weysenhoff*
Zimowe wieczory. *Włodz. Perzyński*.
120,000,000 dolarów. *Tad. Dąbrowski*.
Tragedya ducha. *Gerald Villers-Stuart*.
Szlakiem orła. *E. M. Dell*.
Wiadomości literackie.

PRENUMERATA wynosi z przesyłką pocztową, 4 rb. rocznie, 2 rb. półrocznie, 1 rb. kwartalnie.
BIURO REDAKCYI I ADMINISTRACYI:
Warszawa, ulica Zgoda № 1.

Redaktor: STEFAN KRZYWOSZEWSKI.
Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyę: Antoni Chołoniewski, Kraków, ulica Bonerowska 12.

Druk. Tow. S. Orgelbranda S-ów w Warszawie

Z dziedziny kosmetyki.

W. T. Odpowiedź na tyle zapytań zabrałaby całą rubrykę niniejszą. Prosimy o adres, a listownie odpowiemy.

Zmartwionej Hance. Zbyteczne włosy usunie *Epil Max'a*; jakkolwiek po kilku tygodniach włosy odrosną, jednak przy częstem stosowaniu tego środka coraz słabsze będą się ukazywać, aż narazie zanikną. Tłustą, połyskującą cerę trzeba zwilżać parę razy dziennie balsamem poziomkowym *Baume aux fraises* i zapudrowywać pudrem abaridowym.

Romie. Olejek rycynowy jest zbyt przykry do smarowania włosów i podlega szybkiemu zjelczeniu, co więcej szkody, niż pożytku, przyniesie, dlatego najlepiej dziecku smarować włosy w celu wzmocnienia pomadą *Tortulea*.

René. Ryżawe włosy przyciemni *Orizalina* w przeciągu kilku dni. Zażądać odcieniu *Brun*. *Epil Max'a* usunie włosy bez uszkodzenia skóry.

Ewie. Prosimy o adres, gdyż nie mamy tyle miejsca na odpowiedź.

Mimozie. Gliceryna zgęszczona rąk nie wybieli. Po umyciu, w mokre jeszcze ręce trzeba wetrzeć trochę kremu *Pate des Prelats*. Przeciw wypadaniu włosów *Tetra Tisota*, którym skrapiać

Telefonu № 277.
Adres dla listów: Józef Gorecki,
Podgórze, Kraków.

wyrabia siatki żelazne, drut gładki i kołczasty pocynkowany,
meble żelazne i mosiężne, urządzenia szpitalne i kliniczne,
wyroby żelazne kute ornamentalne i budowlane.

Fabryka Józefa Goreckiego
w PODGÓRZU (koło KRAKOWA)

głową przy codziennem rannem czesaniu. W zimie głowy nie myć wcale, lecz czyścić na sucho specjalnym pudrem Florentine.

Oszpeconej. Czerwone, drobne żyłeczki, ukazujące się na twarzy, tylko masażystka pneumatyczna Heros usunąć może i parowanie lub mycie w gorącej wodzie. Na noc wcierać Abarid.

Statej. Epil Max najlepszy, bo nie niszczy naskórka.

Klarze i Stasi. Włosy pojaśni, bez szkody dla owłosienia, plyn Hella. Cere wybieli pyłek Juvenia Candida, na podkładzie Abaridu. Twarz myć ciepłą wodą i Otrąbkami abaridowemi, bez mydła. Nagiotki usunie szybko Cornil.

Do Wszystkich. Srodki, tutaj omawiane, mają na składzie firmy: „Perfection”, Szpitalna, 10, i Paszkowski, Marszałkowska, 109 oraz Nowosenatorska, 2, w Łodzi Spiess, w Wilnie Gruzewski, w Krakowie Miklaszewski, plac Dominikański, 1, we Lwowie Pawłowski, Aka-

demicka, 21 w Poznaniu Gadebusz, Nowa, 7. Na listach, adresowanych do Redakcyi, prosimy dodawać: „Dział kosmetyczny”.

M-me Ercèdes.



Siwe włosy.

giną bezpowrotnie po jednorazowym użyciu „Wody Pigmol”. Woda ta nie farbuję lecz przywraca naturalny kolor włosów. Nie zawiera tłuszczu ani osadu. Nie brudzi skóry, proszę raz spróbować jeśli nie poskutkuje, przyjmujemy z powrotem: skład główny perfumeryjny J. Wróblewskiej, dawniej Lipink. Wierzbowa róg Niecałej, tel. 75-56. Wysyłka za zaliczeniem.

Skład Apteczny i Perfumeryj St. Staniszewskiego

Krakowskie Przedmieście № 31.

Poleca Pudry, Kremy, wody kwiatowe do odświeżania i wybielenia skóry oraz różne środki antyseptyczne. 6700

INFORMACYE.

Pani Helenie J. W sprawie uczesań rautowych najlepiej zwrócić się do specjalisty, który zrobi to według ostatniej mody, z zastosowaniem do rysów twarzy. Radzimy udać się do Wiktora, Erywańska 16. Można telefonicznie.

Wskazówki.

Pani Zofii G. Uczesanie modne, bez odpowiednich dodatków, jest niemożliwe. Najlepiej udać się o nie do specjalisty — fryzjera, p. Józefa Bagnowskiego Wilcza 35, róg Marszałkowskiej. dom W-go J. Fruzińskiego.

WYKWINTNA BIELIZNA DAMSKA
WYPRAWY CAŁKOWITE (specjalność)

Z. BIERNACKA

Warszawa, Marszałkowska 152 (róg Erywańskiej).

Telefonu 205-85.

JAN KRAFFT

Marszałkowska 154
RÓG KRÓLEWSKIEJ.

SUKNA, KORTY, TOWARY BŁAWATNE.
Nowości na każdy sezon.
Na prowincye wysyłka za zaliczeniem.

Biedna wdowa

po obywatelu zleńskim bez żadnych środków do życia, zwraca się z gorącą prośbą o pomoc. Ofiary pod literami K. M. przyjmuje Administracja naszego pisma.

DOM BANKOWY

Z. Szempliński i Ska Nowy-Świat 40,
tel. 98-60.

Kupno i sprzedaż papierów procentowych, przekazy na zagranicę. Askuracja. Lokaty. Konserwacje w Tow. Kredytowem.

Warsz. Poliklinika Lekarsko-Dentystyczna,

Nowy-Świat № 5.

Chirurg na miejscu. Porada bezpłatna. Zęby sztuczne w złocie, kauczuku-płomby, korony złote, leczenie; prostowanie krzywo rosnących zębów, przy poliklinice ambulatorium dla niezamożnych chorych codz., 9—10 r.

KAUKAZKI NATURALNY

KONIAK

KONIAK

TOWARZYSTWA „ARGO”
W TYFLISIE

Nagrodzony na wszechświatowych i wszechrosyjskich wystawach wyższymi nagrodami. Do nabycia w pierwszorzędnych handlach.

Warszawska Kasa Oszczędności i Pożyczek.

Krakowskie-Przedm. № 20, tel. 50-92.

Wydaje pożyczki od 300 rb., spłacane ratami na dogodnych warunkach. Przyjmuje wkłady, płacąc do 7%.

Wydawnictwa Tow. Akc. Wydawniczego „Świat”

WINC. KOSIAKIEWICZ
Powrót z za świata

Cena rb. 1.—

BOLESŁAW GORCZYŃSKI
Na tropie trucizny

ROMANS.
Cena rb. 1.80.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

W każdym domu polskim znaleźć się winien

NASZ ROK

Kalendarz na rok 1913

wydany staraniem redakcyi „ŚWIATA” przy udziale wybitnych sił literackich.

W szeregu źródłowo opracowanych artykułów zawiera on szczegółowy przegląd roku ubiegłego.

Dział prawnospołeczny, opracowany przez D-ra Emila St. Rappaporta.

Dział handlowo-przemysłowy, opracowany przez A. Morozewicza.

Szczegółowy dział informacyjny.

Z górą 400 ilustracji.

Cena kop. 70, z przesyłką pocztową 1 rb.

Do nabycia we wszystkich księgarniach, oraz w administracyi „ŚWIATA”—Zgoda № 1.

Pumpy, Siłowniki, narzędzia ogniowe i aparaty asenizacyjne

Józef Troetzer i Ska

W PRUSZKOWIE.

Biurowo ulica Mr. Berga № 2. Telefon 7-56.

LOKALE dla Banków, Kupców i Przemysłowców LOKALE

w-najlepszym punkcie miasta (w nowobudującym się domu) wiedni także na **kawiarnie, cukiernie** i t. p. — Na żądanie mogą być połączone 3 lokale piętrowe z dolnym sklepem, 4 wystawowymi oknami 9x9 i 4 okna 4x4 łokci, wielkość sal 520 łokci, mogą być rozdzielone według wymagań. Centralne ogrzewanie, 2 windy i wszelkie nowoczesne urządzenia.

Wiadomość na miejscu od 10 — 12-iej, lub u właściciela Z. Alberga, Marszałkowska 53 od 3 — 5 godz. Telefon 30-27

STACJA DR. Ż. W. - WIED.
POCZTA I TELEGRAF NA
MIEJSCU. POŁĄCZE IE
TELEFONICZNE Z WAR-
SZAWĄ.

Grodzisk

45 MINUT JAZ-
DY KOLEJĄ OD
WARSZAWY,
5 MINUT SZOSA
OD STACJI.

ZAKŁAD LECZNICZY Cały rok otwarty.

Ładny park, kanalizacja, światło elektryczne, ogrzewanie centralne. Kuchnia własna i dyetetyczna. Leżalnica i kąpiele słoneczno-powietrzne. Nowa instalacja hydro-terapeutyczna. Kąpiele świetlne, 4-komorowe, sinusoidalne, gazowe z płynnego CO₂; natryski z gorącego powietrza. Masaż ręczny i wibracyjny. Mechanoterapia. Cena od 3 rb. 75 kop. do 6 rb. Prospekt i cenniki gratis i franco. Kierownik zakładu Dr. Bronisław Malewski.

Kazimierz Patzer, Inżynier

BIURO URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH,
Warszawa, Jerozolimska № 21. Tel. 59-46.

ELEKTRYCZNE OŚWIETLENIE, ELEKTRYCZNE PRZENOŚNIE SIŁY, POŁĄCZENIA Z SIĘCIĄ MIEJSKĄ, INSTALACJE TELEFONICZNE I SYGNALIZACYJNE, DZWIĘGI ELEKTRYCZNE OSOBOWE I TOWAROWE, ELEKTRYCZNE ODKURZANIE I WENTYLACJE, REMONTY, REWIZJE, STAŁY DOZÓR TECHNICZNY, DOSTAWA WSZELKICH ARTYKUŁÓW WCHODZĄCYCH W ZAKRES POWYŻSZYCH URZĄDZEŃ ELEKTRYCZNYCH.
KOSZTORYSY I CENNIKI NA ŻĄDANIE.



Dobrze płacę, a tanio sprzedaję. Nabywam kwity lombardowe, brylanty, perły oraz inne drogocenne przedmioty, placąc najlepiej. Odstępuję je z małym zyskiem, sprzedaję też tanio nową biżuterię i zegarki renomowanych fabryk. Wybór ogromny poleca egzystujący od 1887 roku Magazyn Jubilerski, A. DUSZKE, Marszałkowska 102, tel. 105-39.

Najtańsze oświetlenie

klatek schodowych, kuchni, korytarzy i t. p.
Palnik gazowy „MIKRO” o sile światła 16 świec zużywa na godzinę gazu za 1/8 kop.
Cena 75 kop.

Skład główny: ERYWAŃSKA № 3, tel. 87-99.

KAUCYONOWANE BIURO SZYMBORSKIEJ

Żórawia № 27, tel. 26-54

Poleca służbę domową tylko sprawdzoną. ŻENSKA: gospodynie, panny służące, młodsze, kucharki, sługi do wszystkiego, posługaczki, praczki, nianie, bony, zdolne krawcowe, bielizniarki, sklepowe, dziewczynki do sklepów i aptek. MĘSKA: Szwajcarów, woźnych, bieterów do iluzjonów, stróżów, kucharów, lokajów, służących, furmanów, parobczków fernali, pastuchów i etc.

Wytwórny Iluzjon „MASCOTTE”
Program pierwszorzędnny
Muzyka koncertowa
BODUENA 4
we Wtorki i Soboty NOWOŚCI !!!

— Prywatny Zakład Akuszeryjny i Ginekologiczny —
JULII PARADOWSKIEJ

przyjmuje Panie na słabość, — czas dłuższy, kurację. — **Żórawia № 7. Tel. 68-29.**

Piekarnia Nowa A. Ł. Nowy-Świat № 68

nabyła na wyłączną własność prawo wyrabiania specjalnego chleba i sucharków dla dyabetyków „KLEBON” podług przepisu prof. (chorych na cukrzycę) p. n. F. X. Kleinpetera w Wiedniu. „KLEBON” sprzedaje się za pozwoleniem Urz. Lek. m. W. w sałepie głównym Piekarni Nowej, NOWY-ŚWIAT № 68 w specyjalnym opakowaniu, opatrzonym marką fabryczną, oraz podpisem wyznaczy.



BIELIZNA, KOŁDRY, HAFTY. WYPRAWY

L. Solcberg-Rogozińska

BODUENA № 2.

TELEFON 170-53.

„Hygiena Twarzy i Rąk” „SIMI” (PŁYN)
WSZECHŚWIATOWEJ SŁAWY

Udelikatnia skórę, leczy radykalnie i usuwa piegi, wagi, liszaje, krosty, oraz połysk twarzy. Nadaje twarzy piękność i urok młodości. Cena flakonu rub. 1.70. Dostać można w większych składach apt. i perfumeryach. Warszawa, Złota 16.
Przedstawiciel **Józef Grossman**, Telefon 184-44.

MEBLE gięte, stolarskie. URZĄDZENIA CAŁKOWITE

Bracia THONET

Warszawa, MARSZAŁKOWSKA № 141, Tel. 20-29.

NICI

Towary Norymberskie, Galanteryjne, Roboty ręczne
poleca **TANIO Albert Sperlich**, Jerozolimska 19.
długoletni współprac. Firmy A. Ludwig róg Brackiej 6706

Kupuję Brylanty srebro, złoto, kwity lombard.
HENRYK JUWILER

Nowy-Świat № 59. — I-sze piętro. Sprzedaję biżuterię i srebra okazynie. Kontentuję się małym zyskiem, bo w mieszkaniu, tel. 55-28.



Wykwintne Obuwie męskie, damskie i dziecięce.

Buty do go-
B spodarstwa

POLECA

S. MŁYŃCZYK

W Warszawie, Marszałkowska 151
Filia: S-to Krzyska № 51.
BIAŁYSTOK, LIPOWA № 30.



Wyborowa muzyka przygrywa od g. 7 wiecz. do zamknięcia.

Kawiarnia Centralna Mazowiecka № 3, H. Debińskiego 7893 róg Ś-to Krzyckiej.

Z. Dobrzańska i S^{ka} Warszawa, Jasna 10.
Telefon 178-75.

polecają: Księgi handlowe, Kopiały, Teki, Segregatory, Skoroszyty.

Podagrykom Reumatykom i Artretykom
lekarze zalecają jedynie
Piperazyne MIDY
ponieważ ona rozpuszcza kwas moczowy
najenergiczniej. najlepiej asymiluje się.

2 Gyżeczki od kawy dziennie Znajduje się we wszystkich aptekach

SKŁADY DO PRZECHOWANIA MEBLI
W. WĘGIEŁEK i S^{ka}
NOWOGRODZKA 2 RÓG BRACKIEJ
OPAKOWANIA. PRZEPROWADZKI
TELEF. 14088

Wielki magazyn konfekcyi damskiej, męskiej i bielizny, oraz własna pracownia egzystująca od lat 25 przy ul. **NOWY-SWIAT № 33** (dwie trójki)

p. f. „**PIERWSZA WARSZAWSKA KONKURENCYA**”

aktem № 216, przed rej. Rogozińskim sporządzonym, przeszły na własność naszą.

Polecając bogato zaopatrzone w najmodniejsze artykuły nasz magazyn, pozostajemy z poważaniem

Leon Pawłowski i S-ka
tel. 60-37.

Duży wybór bluzek wełn. od rb 2, jedwab. od rb. 3.50, halek wełn. od rb. 2, jedwab. od rb. 4, matinek od rb. 1.50, spódniczek od rb. 3.50, szlafroczków od rb. 2.50, oraz bielizny damskiej i męskiej, po cenach konkurencyjnie niskich.

Sprzedaż hurtowa i detaliczna.



7409— **ZAKŁAD**
Leczniczy dla przychodzących
z chorobami żołądka i kiszek
Dra Tadeusza Wilczyńskiego
Al. Jerozolimska № 35. Tel 282-25,
przyjęcia od 9-10 r., od 1-3 i 6-7 p.p.

AKUSZERYJNY ZAKŁAD
akuszerki **M. RING**
1go rzędu
urządzone podług tegoczesnych wymagań. Przyjmuje na czas dłuższy. Porady. Dyskrecya. Krucza 37-8.

Laskawym względem Szan. Publiczności polecamy
biedną wdowę, M. P.
której gwałtownie potrzebną jest suma rb. dziesięć dla opłacenia adwokata w sprawie nader dla niej doniosłej. Laskawe ofiary pod „M. P.” przyjmuje administr. naszego pisma.

Bracia JABŁKOWSCY



DOM TOWAROWO KONFEKCYJNY

TOWARZYSTWO
AKCYJNE

□ □ □

WARSZAWA,
BRACKA 23.

NOWOŚCI
∞ WIOSENNE
LETNIE
∞ NADESZŁY
DO
WSZYSTKICH
DZIAŁÓW
MAGAZYNU.
WYSYŁKA
PRÓB
∞ KATALOGÓW
KOSZTORYSÓW
∞ BEZPŁATNIE.

PARFUM

CHEVALIER D'ORSAY

17, RUE DE LA PAIX, PARIS

DLA UŁATWIENIA STOSOWANIA
POPULARNEGO FRANCUSKIEGO
ŚRODKA NA **Zatwardzenie**
SPRZEDAJEMY MAŁE PUDEŁKA

PO **20** W CENIE
PIGUŁEK **GASCARA MIDY.** **50** KOP

1-2 Pigulek wieczorem przed kolacją
pudełko te również jak i większe po 50 pigulek
znajdują się we wszystkich aptekach i składach aptecznych.

**KĄŻDY MALARZ
POWINIEN SPROBOWAC
FARB
ARTYSTYCZNYCH
OLEJNYCH I AKWA
RELOWYCH KRA
KOWSKIEJ FABRYKI**

ISKRA

**ŻĄDAC
WSZĘDZIE**

GŁÓWNY SKŁAD NA **Ż. Bośniacki** W DĄBROWIE
KRÓL. I CESARSTWO GÓRNICZEJ.
Reprezent.: **A. LANGOWSKI i S. KRASNODEBSKI**
w Warszawie, Nowogrodzka № 6A, tel. 180-14.